



Jerzy Kozarzewski
(1913-1996)

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XX Nr 2(221) Zelów, luty 2015

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Joanny Fligel, Jerzego Kozarzewskiego, Sabiny Kuśmickiej, Kazimierza Świągockiego, Anny Tlałki

Andrzej Dębkowski – *Po co komu kultura?* oraz *Pochwała Tajemnicy Istnienia*

Leszek Żuliński – *Rzeka Behavior*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Poetyckie fotografowanie świata*

Kazimierz Ivosse – *Portret znajomej dziewczyny jako tekst – kolaż w szarym kolorze (2)*

Stefan Jurkowski – *Wesele (fi)gara*

Andrzej Bartyński – *Coś ludzkiego*

Emil Biela – *Gorzka czekolada przyszłości* oraz *Przede wszystkim chciał żyć*

Zbigniew Kresowaty – *Naznaczony herbem norwidowym*

Danuta Gil-Łowkis – *Stefan (2)*

Katarzyna Eremus – *Automobilem przez Europę (1)*

Jurata Bogna Serafińska – *Kim jest Trickster?*

Wydarzenia

Informacje

Imprezy

Kronika

Zapowiedzi

Opinie

Noty

Poglądy

Konkursy

Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Kronika

70. urodziny obchodzi Bohdan Zadura (ur. 18 lutego 1945 w Puławach) – poeta, prozaik, tłumacz i krytyk literacki. Debiutował w 1962 roku na łamach miesięcznika „Kamena”. Wieloletni redaktor kwartalnika „Akcent”, od 2004 redaktor naczelny „Twórczości”. Autor przekładów m.in. z angielskiego, ukraińskiego (antologia *Wiersze zawsze są wolne* z 2005) i węgierskiego.

Konkursy



XXXV

Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Laur Jabłoni ‘2015’”

1. Organizatorem konkursu jest Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna im. Wacława Skarbimira Laskowskiego w Grójcu.
2. Konkurs jest skierowany do autorów niezrzeszonych w Związku Literatów Polskich ani Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich. Celem konkursu jest inspirowanie do aktywności twórczej, promowanie talentów literackich, popularyzacja amatorskiej twórczości poetyckiej.
3. Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie zestawu trzech do pięciu utworów poetyckich. Zestawy powinny być przesłane w trzech skompletowanych egzemplarzach. Utwory nie mogą być wcześniej publikowane ani nagradzane w innych konkursach.
4. Tematyka i forma utworów jest dowolna. Organizatorzy pragną jednak promować twórczość tematycznie związaną z Ziemią Grójecką. Za najlepszy cały zestaw wierszy o tematyce grójeckiej autor otrzyma finansową nagrodę specjalną w wysokości 450 złotych.
5. Prace konkursowe winny być opatrzone godłem słownym (pseudonimem), a do nich dołączona koperta z tym samym godłem, zawierająca kartkę z danymi autora (imię i nazwisko, dokładny adres, telefon kontaktowy, e-mail, jeśli jest).
6. Jury powołane przez organizatora oceni nadesłane utwory oraz przyzna nagrody i wyróżnienia. Laureaci konkursu otrzymają nagrody finansowe o łącznej wartości nie mniejszej niż 2900 złotych (poza nagrodą specjalną). Gratyfikacje finansowe zostaną przebrane na rachunek bankowy autorów.
7. Lista zwycięzców zostanie zamieszczona na stronie www.bibliotekagrojec.pl do dnia 30 czerwca 2015 roku. Wyniki konkursu zostaną również ogłoszone w mediach lokalnych oraz na stronie Urzędu Gminy i Miasta Grójca.

8. Prace konkursowe należy przesłać **do dnia 15 maja 2015 roku** (decyduje data stempla pocztowego) na adres: **Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna w Grójcu 05-600 Grójca al. Niepodległości 20, z dopiskiem „O Laur Jabłoni ‘2015’”** lub dostarczyć do siedziby organizatora.
9. Zapytania dotyczące konkursu należy kierować na adres: czytelnia@bibliotekagrojec.pl, osoba do kontaktu: Mirosława Krawczak, tel. 48 6643371 wew. 16, w godz. 10.00 – 16.00.
10. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych tekstów zastrzegając sobie prawo do publikowania i cytowania w mediach nagrodzonych i wyróżnionych wierszy bez dodatkowej zgody autorów i bez honorarium autorskiego.

XVI

Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Włodzimierza Pietrzaka ph. „Dwaj najwięksi tyrani ziemi: przypadek i czas”.

1. Konkurs rozgrywany jest w kategorii poezji, ma charakter otwarty – mogą w nim brać udział zarówno amatorzy, jak i członkowie profesjonalni.
2. Na Konkurs należy nadesłać zestaw 3 wierszy, związanych tematycznie z hasłem Konkursu (nigdzie dotąd niepublikowanych i nienagrodzonych w innych konkursach) – w 3 egzemplarzach każdy wiersz, w maszynopisie lub w formie wydruków komputerowych oraz 1 egzemplarz w postaci zapisu na płycie CD (w pliku Word).
3. Prace konkursowe należy opatrzyć godłem (pseudonimem). To samo godło należy napisać na dołączonej kopercie, wewnątrz której wypisać: nazwisko i imię autora, adres, numer telefonu, wiek, adres e-mail, dane o przynależności do klubów, stowarzyszeń literackich itp.
4. Uczestnik może użyć tylko jednego pseudonimu i pod nim nadesłać tylko jeden zestaw wierszy.
5. Do udziału w Konkursie nie zostaną dopuszczone prace osób przesyłających: zbyt dużo lub zbyt mało utworów w jednym zestawie, zbyt mało egzemplarzy (patrz pkt 1. regulaminu), utwory opatrzone pełnymi danymi zamiast godła.
6. Prace konkursowe prosimy przysyłać **do 13 marca 2015 roku** (decyduje data stempla pocztowego) na adres: Miejska Biblioteka Publiczna im. Włodzimierza Pietrzaka, ul. Dworcowa 5, 62-700 Turek, z dopiskiem: Konkurs poetycki.
7. W Konkursie przyznane zostaną nagrody: pieniężne: I, II, III nagroda – za wiersz związany z tematyką Konkursu; rzeczowe: Nagroda Młodych dla uczestników do 18 roku życia oraz Nagroda dla Lokalnego Poety (zamieszkałego na terenie miasta Turek i powiatu tureckiego).
8. O przyznaniu nagród decyduje profesjonalne Jury, powołane przez organizatora.
9. Uczestnik nagrodzony w kategorii głównej, nie może otrzymać nagrody w pozostałych kategoriach.

10. Wysokość nagród leży w gestii organizatora.
11. Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród odbędzie się w dniu 17 kwietnia 2015 roku na Biesiadzie Poetyckiej ph. „Dwaj najwięksi tyrani ziemi: przypadek i czas”. Laureaci Konkursu zostaną powiadomieni osobnym piśmie. Organizator nie wysyła pocztą nagród pieniężnych. Nagrodę należy odebrać osobiście lub przez upoważnionego przedstawiciela w dniu 17 kwietnia 2015 r., najpóźniej do 18 maja 2015 r. Po tym terminie kwota nagrody przechodzi na cele innej działalności Miejskiej Biblioteki Publicznej w Turku.
12. Organizator Konkursu nie zwraca kosztów dojazdu i noclegu.
13. Teksty nadesłane na Konkurs nie będą zwracane. Organizator zastrzega sobie prawo nieodpłatnych publikacji w prasie, radiu, telewizji i innych wydawnictwach (książki, płyty).
14. Biblioteka przewiduje wydanie osobnej publikacji nagrodzonych i wyróżnionych prac, jako pokłosie Konkursu.
15. Informacje o Konkursie udzielane są pod numerem 063 278-51-34 wew. 15 w godzinach od 900 do 1830. Osoby odpowiedzialne: Emilia Goślińska, Agnieszka Tomczyk.

Konkurs Poetycki im. Klemensa Janickiego

1. Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu zaprasza do udziału w nowej edycji Konkursu poetyckiego im. Klemensa Janickiego. Termin nadsyłania utworów upływa **15 marca 2015**. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi podczas festiwalu Poznań Poetów (18-23 maja 2015).
2. Jury: Mariusz Grzebalski, Krzysztof Hoffmann, Janusz Rudnicki (przewodniczący), Dariusz Sośnicki.
3. Zasady: Uczestnik konkursu nadsyła zestaw oryginalnych wierszy o objętości ok. 2-3 arkuszy wydawniczych (40-60 stron), które nie były dotąd publikowane w prasie i almanachach.
4. Zestawy muszą być zaopatrzone w godło oraz zamkniętą kopertę z danymi personalnymi autora. Prosimy o nadsyłanie czterech kopii każdego zestawu. Uczestnik nie musi być debiutantem. Limit wieku autora – 35 lat.
5. Główną nagrodą jest publikacja zwycięskiego zestawu w postaci książki.
6. Organizator zastrzega sobie prawo zgłaszania sugestii redakcyjnych, zmniejszania lub rozszerzania zawartości tomu w stosunku do propozycji wstępnej, a także – w ostateczności – nieprzyznania nagrody głównej i zastąpienia jej publikacją o charakterze zbiorowym lub wyróżnieniami o charakterze finansowym, równwartymi – łącznie – kosztem publikacji książkowej lub nieprzyznania nagród. Rozstrzygnięcie konkursu i ogłoszenie wyników nastąpi na specjalnym wieczorze poetyckim podczas festiwalu „Poznań Poetów” (18-23 maja 2015).
7. Zestawy wierszy w 4 egzemplarzach prosimy nadsyłać najpóźniej do dnia 15 marca 2015 roku na adres: Centrum Kultury ZAMEK, ul. Św. Marcin 80/82; 61-809 POZNAŃ, z dopiskiem **Konkurs Poetycki im. Klemensa Janickiego**.

[ad]

Andrzej Dębowski

Pochwała Tajemnicy Istnienia

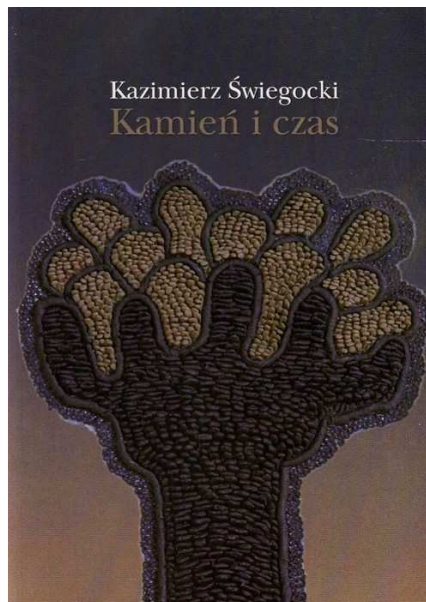
Kiedy czytałem jubileuszowy zbiór wierszy, szkiców i esejów **Kazimierza Świągockiego** pt. „Kamień czas”, zadałem sobie pytanie, gdzie znajdują się źródła wzruszeń człowieka. Ale po skończeniu czytania tej książki nie było mi łatwo jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Dlaczego? Bo serca ludzi wciąż przepęlnia strach i żal, gdy widzi się tę wielką obojętność, obejmującą coraz więcej jednostek ludzkich. Obserwując jednak te zdarzenia nie możemy pozostać obojętnymi. Taka sytuacja zakłóca nasz światopogląd oraz tożsamość. Zmiany jakie zachodzą w kontaktach międzyludzkich stały się już dawno przedmiotem rozważań socjologów, także teologów oraz filozofów. Wciąż nie potrafimy wyciągnąć słusznych wniosków z doświadczeń historii, aby móc w skuteczny sposób zapobiec negatywnym wpływom na kształtowanie się naszego człowieczeństwa.

Kazimierz Świągocki jest poetą odrębnym. Nigdy nie patrzył na nowe prądy w literaturze – chociaż jeśli patrzył, to nie bardzo ciągnęło go do nich. Myślę, że po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że może warto byłoby spróbować czegoś nowego, ale jego filozoficzne wnętrze nie bardzo pozwalało mu na to. A potem było po prostu za późno – nie chciał się już przeciwstawiać naturze poezji, tej wielkiej *Tajemnicy*.

Prezentowany, duży wybór wierszy, poematów i esejów to swoiste dzieło jego myśli i wyobraźni. Jak pisze we wstępie: *Lektura tych esejów może bowiem wydatnie pomóc w głębszym rozumieniu różnych warstw znaczeniowych mojej poezji*. I to jest prawda, bowiem eseje Świągockiego mają postać zbliżoną do filozoficznego poematu prozą i wpisują się w cały obszar jego sztuki poetyckiej, podejmującej problematykę metafizyczną. Wiele jego wierszy wyraźnie odnosi się do czasu dzieciństwa i młodości. Poeta od początku swojej literackiej przygody poszukiwał języka, który odda to, co w autorze *Przebiśnięgów* jest najważniejsze. Te wiersze mówią, że nie możemy bagatelizować ludzkiego egoizmu. Człowiek musi być czuły na to, co się wokół niego dzieje – coraz bardziej powszechna bezdomność, różnego rodzaju choroby oraz cierpienia fizyczne i psychiczne. Pamiętajmy, że życie w odosobnieniu nie prowadzi do niczego dobrego, a pieniądze nie są największym dobrem, z pewnością trudno bez nich wyobrazić sobie naszą egzystencję jednak nie powinny one stanowić priorytetu w ludzkim istnieniu.

Siła poezji Kazimierza Świągockiego

tkwi w nieustannym poszukiwaniu, w dążeniu do wyższych stanów świadomości poetyckiej. U poety ten typ postrzegania rzeczywistości jest nadzwyczaj silny. Świągocki mówi, że wszyscy wychowujemy się w takim czy innym środowisku, w różnej kulturze, co ma spory wpływ na ukształtowanie naszych aspiracji życiowych. To wszystko wpływa na nas, nawet jeśli nie jesteśmy tego faktu świadomi. Jednakże istnieje pewien zakres wolności kształtowania swej osoby właściwy człowiekowi. Może on polegać na wyborze wzorca osobowego wytworzonego przez kulturę, w której przyszło nam żyć. Oczywiście, nie powinno się to odbywać zupełnie bezkrytycznie, gdyż nie każdy taki ideał będzie pasował do innych czynników określających naszą osobowość. Jeśli zaś już będziemy wiedzieli kim chcemy być, to również śmiało będziemy mogli stwierdzić, że nasze życie ma sens, że dokąś zmierza i że urzeczywistnia jakieś wartości, którym chcemy być wierni. Można zatem powiedzieć, że określiwszy cel naszego istnienia i przystąpiwszy do jego realizacji stajemy się w pełni człowiekiem, gdyż na dążeniu do ideału polega natura człowieczeństwa i nie ma tu znaczenia, że na drodze do wybranego przez nas celu upadniemy zapewne nie raz, i nie dwa.



Szczególne są wiersze zamieszczone w książce w cyklu *Morze utracone*. Świągocki z rozważą mędrca opowiada, że na to kim jesteśmy możemy patrzeć co najmniej z dwóch perspektyw. Pierwszą stanowiłoby spojrzenie biologiczne, opisujące człowieka w kategoriach właściwych naukom przy-

rodniczym i do nich sprowadzających. Drugą natomiast stanowiłoby spojrzenie etyczno-teologiczne, które istoty człowieczeństwa upatrywałyby w tym, że jest on „zwierzęciem” moralnym. Jeżeli przyjęlibyśmy tę drugą perspektywę, to odpowiedzi na pytanie – kim człowiek jest? – powinniśmy szukać w Biblii oraz pismach etycznych różnych filozofów. Myślę, że dla niego najbardziej miarodajnym w tym względzie jest przekaz biblijny, szczególnie zaś dziesięcioro przykazań oraz zalecenie Chrystusa, abyśmy się wzajemnie miłowali. Bowiem w tym zawiera się wszystko, czego człowiek potrzebuje do dobrego życia, w którym realizuje się.

A kim jestem ja? – zdaje się pytać poeta-filozof. Jest poetyckim dzieckiem i uważa, że trzeba z tego korzystać. Nie znaczy to oczywiście, żebyśmy żyli sobie bez troski. Tak zapewne napisałaby większość osób: *jestem młodym, beztrojskim człowiekiem, właściwie nie mam obowiązków, którymi poważnie musiałbym się przejmować*. Ktoś doda do tego, że teraz jeszcze nie myśli o przyszłości, a problemy dorosłych wcale go nie obchodzą.

Ważnym w tej poezji jest samotności. Każdy z nas boi się bycia samotnym. Ta obawa i lęk przed wyobcowaniem są często bardzo silne i wywierają taką presję, że wolimy nie przyznawać się do naszych zasad i opinii, stąpić się z otaczającym nas tłumem, zaakceptowanym? Świągocki mówi nam, że wyzbywamy się swojej osobowości tylko dlatego, że obawiamy się braku akceptacji ze strony społeczeństwa. Ale czy odrzucanie własnego „ja” musi być jedyną drogą do bycia? Czy nie można zyskać uznania ze strony społeczeństwa pozostając po prostu sobą?

Jednak chyba najmocniejszą stroną poezji i esejów Kazimierza Świągockiego są zagadnienia dotyczące *Tajemnicy Istnienia* [podkreślenie moje]. Poeta z całą stanowczością stwierdza, że człowiek jest istotą bożą, która ma czasami wloty i upadki. Każdy z nas zastanawia się nad swoim istnieniem w świecie i rzeczywistości. Wszystko, co nas otacza i żyje jest dziełem największego z wszystkich – Pana Boga. Człowiek stara się podporządkować Bogu, chociaż w jak najmniejszym stopniu, ponieważ również chciałby być wielką nieśmiertelną oraz wieczną osobą, jaką jest nasz Stwórca. Jest to niemożliwe, ponieważ przez grzech pierwszych ludzi jesteśmy skazani na śmierć

(Dokończenie na stronie 4)

Pochwała tajemnicy istnienia

(Dokończenie ze strony 3)

i służeniu naszemu Panu. Wszyscy myślimy, że jesteśmy wielcy, ponieważ coś umiemy, osiągnęliśmy założony sobie cel, ale tak nie jest, jesteśmy tylko stworzeniami, które Bóg wybrał do osiągnięcia swojego celu, jakim jest zbawienie ludzkości. Nasza wielkość polega na tym, że mamy świadomość wyboru oraz wolną wolę. Dzięki temu możemy dokonywać tych wyborów dotyczących głównie naszej przyszłości. A czym jest przeszłość: minionym czasem, spiralą życia, świetlistym płomieniem, a może zwykłym dziecięcym klockiem, igraszką w rękach nieznannej osoby? Poeta jasno określa to, że jest wszystkim, przez co staje się... niczym. Kim jesteśmy, my, chwilowo przebywający na ziemi i odgrywający własne przedstawienie? Marionetkami w teatrze świata poszukującymi idei, bytami karmiącymi się nic nieznaczącymi wartościami? Poczucie kruchości istnienia, przekonanie o bezwzględnej dominacji przeszłości, o wiecznie trwającym przemijaniu tego, co piękne, pozwala obudzić wiarę w byt transcendentny. Skoro nie ma możliwości ucieczki przed przemijaniem, to warto być przekonanym o istnieniu wiecznego Sacrum. Wiara w miłosiernego Boga jest jedyną wartością nadającą sens ziemskiej wędrówce człowieka. Przeszłość jest historią, która nie buduje, lecz przeważnie niszczy, natomiast jedynie miłość i wiara – stanowią ocalenie.

Kiedyś takie wartości jak dobro, prawda, piękno zajmowały czołowe miejsce w hierarchii bytów. Pisali o nich filozofowie, ale także uwzględniali je w swoich dziełach artyści malarze, a w końcu pisarze. W XX wieku wszystko to diametralnie się zmieniło. Podważono wiele prawd, a na ich miejsce nie zaproponowano niczego godnego uwagi. Teraz w XXI wieku mamy do czynienia ze spadkiem po tych działaniach. Coraz więcej ludzi czuje zagubienie w takim świecie, gdzie nie można znaleźć niczego pewnego. Skoro abstrakcje idee nie dają poczucia bezpieczeństwa, więc człowiek odwołuje się do dóbr materialnych i tam szuka wsparcia. Rozpoczyna się pogoń za pieniędzmi i poszukiwanie coraz większych bogactw. Przyjęcie takiej postawy wobec rzeczywistości stawia pod znakiem zapytania poszukiwanie innego sensu życia. To wszystko próbuje przedstawić nam poeta w swojej poezji metafizycznej...

W tej poezji dostrzegamy, że po stronie człowieka może stanąć jedynie miłość, ogromna nadzieja i wiara w Boga. W wielu wierszach podmiot liryczny woła o pomoc do Boga, ponieważ wie, że sam jest nikim, jest wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie.

Kiedy czyta się wiersze ze zbioru *Kamiień i czas*, ma się nieodparte wrażenie, że człowiek już od momentu narodzin, skazany jest na śmierć – wielu z nas, bardzo boi się przemijania. Myślenie o nim wywołuje w nas niepokój i sprzeczne uczucia. Śmierć to jedyna pewna rzecz na świecie i nikt nie może jej uniknąć. Wszystko ulega zmianie, ale to jedno jest stałym prawem natury. Nie tylko człowiek jest mu poddany, ale każda istota żyjąca. Ludzie od początku nie mogli zrozumieć i pogodzić się z tym, że pewnego dnia, będą musieli po prostu odejść – w momencie, kiedy nadejdzie śmierć wszystko się dla nich skończy. Śmierć jest pojęciem wzbudzającym powszechną niechęć, sprzeciw i odrazę. Na samo jej wspomnienie nasze ciało zaczyna się buntować, nie potrafimy pogodzić się z tym, że każdego z nas czeka taki sam koniec. Często zastanawiamy się nad samą istotą śmierci i konsekwencjami, jakie ona ze sobą niesie. Wobec śmierci jesteśmy bowiem zupełnie bezbronni, nikt z nas nie zna dnia ni godziny, właściwego momentu, w którym przyjdzie nam rozstać się ze światem. Moment odejścia rodzi zawsze mnóstwo pytań, żal i rozpacz. Jest to szczególnie bolesne, gdy odchodzi ktoś bardzo bliski albo młody. Śmierć wydaje się wówczas niezwykle okrutna, bezlitosna, pozostawia w ludziach uczucie bezsilności i ogromnej straty. Dzieje się tak dlatego, że jesteśmy do niej nieprzygotowani i traktujemy ją jako coś nienaturalnego, a tymczasem powinna być ona przecież traktowana jako element życia.

Dla tych, którzy nie są obdarzeni łaską wiary, śmierć jest czymś ostatecznym, nieodwracalnym, stanowi koniec wszelkiego życia. Z tej perspektywy ludzkie życie może wydawać się absurdem, który lęk przed odejściem tylko pogłębia. Jeżeli zmierzamy ku nicości, to jakkolwiek próba nadania sensu naszej egzystencji nie powinna mieć racji bytu. To sprawia, że żyjemy w lęku przed cierpieniem, stratą i pustką. Boimy się własnej śmierci i odejścia bliskich nam ludzi.

I taka właśnie jest poezja Kazimierza Świegockiego. Poeta we wstępie do swojej książki pisze: *Być może nie jest tylko złudzeniem mojej filozoficzno-estetycznej samoświadomości, lecz słusznym przekonaniem, że moja poezja przedstawia świat pęknięty i rozdarty. Rządzą nim sprzeczne żywioły i siły: ciało i dusza, Bóg i świat, czas i wieczność, trwanie i przemijanie, życie i śmierć. Wszystkie te antynomie mają swe ostateczne źródło w paradoksalności bytu ludzkiego, w jego szamotaninie pomiędzy skończonością swego empiryczno-materialnego trwania a nieskończonością Boga, która woła go i wzywa nieustannie do siebie, przypominając, że jest stworzony nie na zatracenie, lecz na Jego obraz i podobieństwo.*

Jednakże droga do Boga wiedzie przez jądro ciemności. Dotykając owej ciemności

raz można mieć poczucie świętej Tajemnicy, innym razem poczucie mdlącego absurdu. Mam nadzieję, że w mojej poezji nigdy absurd nie zastępuje tajemnicy.

Andrzej Dębkowski



Kazimierz Świegocki

Zima albo rozmowa z umarłą

Śniła się zima. A ty w zadymce ostygniętego śniegu

znak mi dawałaś. Lecz nie pamiętam, ile milczenia znak ów mógł mieścić. Był się był bowiem rozszczępił na dwoje, kiedy odeszłaś od nas tamtej nocy. I przez szczelinę ciągnął tęgi mróz. Więc nie pamiętam, jedno tylko widzę: cień twój przeciąga nad białością śniegów, a potem bije niesłyszalny grom. I to był znak ów, i to był twój głos.

Głos, o, ten pobłażliwy uśmiech zmarłych długo pielęgnowany w podniebnych ogrodach,

cóż mi przynosi twój głos?

– Bogowie tej zimy strzegą jak własnych dzieci

mówisz – bogowie bezradni są w swoim okrucieństwie.

Więc cóż potrafią bogowie prócz szaleństwa tej ojcowskiej miłości?

Śniegi u nas padają coraz bielsze i wiatr jest nieskończony jak płacz nie nakarmionych dzieci. Lasy potężne giną w nieprzeniknionej mądrości zwierząt i drogi zawracają z powrotem do miast.

Ta zima jak Wielka Niewola, jak więzienie obwarowane gniewem Nieśmiertelnych. I ten przeciągły śniegów śpiew jak tajemnicza nić, która łączy ciebie odeszła już i podniebną ze mną idącym przez cały ten Wielki Dzień, który się jeszcze nie zaczął tam, skąd głos twój woła.

Zimo, pamięci bogów, powiedz, gdzie ginie głos mój ludzki? jego go lody niosą?

MNIJ WIĘCEJ (120)



Foto: Zofia Mikula

Rzeka Behavior

Anna Tłałka – poetka z Opolszczyzny, nauczycielka, pierwszy ważniejszy sukces odniosła w roku 2013, wygrywając kędzierzyński konkurs „Krajobrazy Słowa”. Nagrodą był druk tomiku pt. „Proscenium” (ze wstępem Marty Fox) i pierwsze koty poszły za ploty, nie licząc rozproszonych publikacji. Ale szybko pojawiła się już bardziej solidnie wydana książka poetycka (ilustrowana obrazami Modiglianego) pt. „Kobieta – raz i dwa i”.

LESZEK ŻULIŃSKI

Dzielenie poezji na „męską” i „kobiecą” to kategoryzacja dość wyświechtana, a jednak w przypadku Tłałki nie do uniknięcia. Takich wierszy nie piszą mężczyźni, ale chyba jednak czytają je z zaciekawieniem. Woda jest głęboka, na jej wierzchu nie widać głębi, ale chcielibyśmy zanurkować. Tam, w ciemnościach i odmętach, jest to *esprit* – wieczna zagadka. Zdaje mi się, że Tłałka ją mocno odsłania. Poezja Sylwii Plath była pełna wody – ale mrocznej, zaczerpniętej ze Stysku; woda u Sylwii była toposem tanatoidalnym. Żywiołem śmierci. Tu jest „substancją” żywotności. *Płynąc z tobą rzeką behavioru: trwać* – pisze w pewnym miejscu Tłałka.

Jeśli wszyscy gdzieś jesteśmy, to *nie tu, nie tam, nad rzeką*. Aqua vitae? Tak – jako źródło, ale też jako trakt, którym Wielki Flisak spławia nas ku delcie. Nie wiem, ale to poszukiwanie „substancji” i drogi życia jest oznaką powrotu do „filozofii żywiołów”, do rudymentów Natury. „Płciowość” tej poezji nie mogła także – jak łatwo się domyślić – przemilczeć macierzyństwa. Innymi słowy, gdzie byśmy tego tomiku nie otworzyli, widzimy tam uniwersalia, ale rodzaju żeńskiego. Poetka wybrnęła z ewentualnych zasadzek swojej wyrazistej kobiecości intelektualizmem, czyli problematyzowaniem doznań na poziomie egzystencjalnym. Ta „kobiecość” tu nie epatuje; ona raczej zmusza

do wmyślenia się w osobliwości dychotomiczne *gender*, a zwłaszcza *płci społecznej i płci kulturowej*. Wszelki biologizm zresztą stoi tu na dalszym planie; to raczej nieustanne zderzenie roli *bycia kobietą* z matrycami egzystencjalnymi, które są takie same dla wszystkich.

Przytaczam w całości wiersz bez tytułu: *hartowanie skóry – w chłodnych stawach / zabawy w chowanego. // w zakładkach wodorosli układanie pięter / z kamyków – to co ważne jest głęboko pod, / to co wystaje najbardziej podatne na wiatr, / oddech człowieka; // być tylko sobą, gęsią czekającą / na młode, kobietą zaszywającą puch.*

To, co powyżej napisałem, robi wrażenie, jakby autorka tonęła po uszy w symbolice. Ale ona, wychylając głowę z swoich freudowskich odmętów, ostrym wzrokiem postrzega świat konkretów, rzeczy, drobiazgów, szczegółów... Zderzenie tego wszystkiego tworzy tu niepowtarzalną aurę. Z tego powstaje melanż „istnienia intuicyjnego” i istnienia realnego. Jakby Tłałka chodziła brzegiem morza jedną stopą w wodzie, a drugą po ziemi.

Wciąż intryguje mnie ten jej fenomen „dykcji kobiecej”. My, faceci, naprawdę to wszystko inaczej przeżywamy, werbalizujemy i metaforyzujemy. Choć wiele obrazów i skojarzeń moglibyśmy przyjąć do swojej wyobraźni, ot, chociażby taki obraz: *potykam się – po prostu, żeby szybciej ściągnąć buty / i zasnąć. we śnie być świecą (samej sobie światłem).*

Tomik jest opatrzony posłowiem Bożeny Kaczorowskiej, która celnie zwraca uwagę, że *te wiersze to także podglądanie żywiołowości natury, odnajdywanie jej cykli we wspólnotach i biologicznych uwarunkowaniach; motyw ptaka, gniazda czy rzeki staje się dla Anny Tłałki identyfikacją z własnym macierzyństwem*. Podzielał to zdanie, jednak przyznam się, że w mojej lekturze wątki „cykliczności natury” czy macierzyństwa, były drugorzędne. Chociaż z ciekawym wymieszaniem behavioru i metafory. Konkretu i paraboli. Jednak ostatecznie wszystko tu potwierdza tezę o „płciowości” tych wierszy. Nawet w „poezji kobiecej” rzadko kiedy jest ona ewokowana aż tak specyficznie i intrygująco. Nagle, choć jestem stary, wyliniły wyjadacz i emerytowany adonis, zacząłem zastanawiać się nad tajemnicą kobiecości. I chyba nawet przez kilka chwil byłem kobietą.

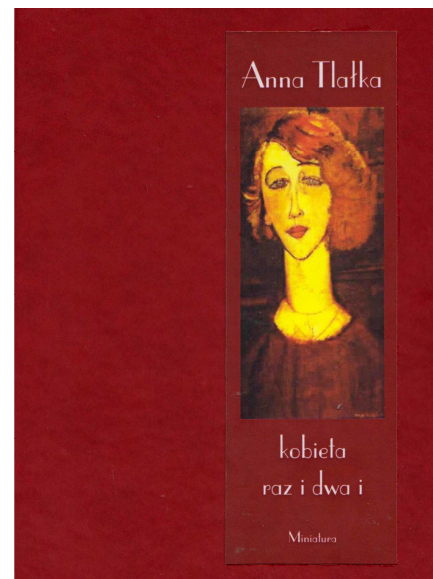
Naczytałem się starymi czasy Freuda, Bachelarda, Eliadego, Simone de Beauvoir, a nawet nie omijałem tygodnika „Kobieta i Życie”, a teraz Tłałka zmusiła mnie, bezradnego, do rozszyfrowywania własnej enigmatyki.

Ale, poważnie mówiąc, to bardzo piękny tomik. Snują się w nim mgiełki snów, pajęczyny wiążące *ego* z *id*, pierzaste chmurki intuicjonizmu, zielone gałązki biologizmu i astrolabia własnego samorozpoznania.

Na koniec tej recenzji, chcę jeszcze zwrócić uwagę na wyrefinowanie pewnych skojarzeń. Oto wiersz pt. *malutka: Calineczce zazdrościłam możliwości ukrycia się pod butem. / czy mogę być jak wy? wybaczenie! po operacjach*

zostają bliźni, / dlatego kochajmy się przy zgaszonym świetle. // powietrze gwałtownie rozrywa płuca. Stosunki na mchu / mogą przyprowadzić o katar. nie myśl – są inni. inni są inni. / nawykłaś do rozczarowań. Z chmur zeskakują rzęsiste wojaczki / i jakby nie było, stoi // bez parasola.

To są tropy wyobraźni nieszablonowej, zawiłej, ale one właśnie biorą się z tego labiryntu, który u Anny Tłałki tak mnie intryguje. Czuję się w sporej mierze bezsilny wobec tej poezji. Chłonę ją, ale wiem, że przez jakąś ścianę się nie przebiłem. Może to i dobrze? Bo ten tomik łatwo i szybko ze mnie nie wywietrzeje. Będzie szturchał i kłął moją pamięć.



Anna Tłałka, „Kobieta – raz i dwa i”. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2014, s. 56.

Anna Tłałka

miniatura środka

w środku brakuje uczucia, jakby włożyć palec do wody – mokra, zmiennościelna. gdyby wodzie nie przeszkodził zanik mięśni byłaby kobietą.

Skóra

to miejsce jest biegunem.

tu znajdziesz wytchnienie. roztopiam się na wędrownie szeptu inuitów. Posłuchaj, są jak otwieranie okien, świeże powietrze.

uzbieraj dla mnie patyki, wbij się w ciepłe futro, rozpal ognisko. wtedy zdrapiasz szron, poczujesz sól.

w schronieniu będę prawdziwa.

Joanna Fligel

Blurb dla dziewczyny z mostu

*Może na jakiejś niewidocznej gwieździe
Jest niebo dla samobójców?
– Pablo Neruda*

kiedy spadałaś, widziało cię kilku kierowców.
jeden zahamował, drugi nie i w tym momencie
otworzyłam oczy. wsłuchiwałam się w piski,
w głowie, lecz te zewnętrzne stawały się coraz
głośniejsze. twoje życie wyło na alarm,
zagłuszyło moje. nadleciał helikopter,
potem straż rzeczna, nurkowie, pogotowie
i dzieje się, niestety (jak w arabskim przysłowiu):
najbliższą z rzeczy jest śmierć, najdalszą – nadzieja.

policja wieczorem rozsyła komunikat:
o dziewiątej trzydzieści utonęła biała,
młoda kobieta. czy ktoś zauważył,
że zniknęła z jego życia, pyta,
zanim pojawiłaś się w moim?

a ty wyszłaś w przerwie (może śniadaniowej),
aby w końcu zamieszkać na niewidocznej gwieździe.

Trzecia

Kiedy marzną stopy myślę o nich więcej.
Jestem ta najśłabsza. Nie urodzę córki.
Przepraszam kochanie. Obiecanej latem,
kiedy moje stopy owiewane ciepłem

nie marzły mi wiecznie. Kaszlę od tygodnia.
Wysłałam gdzieś bez golfa. One wyszły w lutym.
Chodaki za buty, w pasiastych sukienkach,
jestem taka miękka, jestem taka miękka.

Babki we mnie płaczą. Jedna, druga. Trzecia.
Krzyczę po niemiecku, mam zadartą kieckę,
wiem jak śmierdzą Ruski, piersi rwą spod bluzki,
wszystko mam na wierzchu, wszystko mam na wierzchu,

wzięło mnie trzech wespół. Przepraszam kochanie.
Nie urodzę córki obiecanej latem.
Nie dotrzymam zatem.

Martusia

Nie wiem, jak to jest stracić mamę w szóstej klasie
i dziewictwo na klatce schodowej z żołnierzem.
Mieć brzuch i nie mieć dziecka.

Wiem, jak to jest; zdążyć przed gniewem,
zamknąć się w łazience, leżeć na posadzce,
nadsluchiwać, czy udało się uciec matce.

Nawijam włosy na różowe wałki, by rano potrząsać
loczkami jak ty. Dwa aniołki z pierwszej ławki.
Nie brakuje nam skrzydeł.

Wznosimy się ponad wszystkich, z którymi przyszło,
czy nie przyszło, nam mieszkać. Codziennie,
aż do zmiernych.

Bywa, że spotykamy się na cmentarzu. Odwracamy

twarze w przeciwne strony świata. Nie lubimy siebie,
gdy każda odnawia przeszłość.

Już nie dowiem się; jak traci się matkę w szóstej klasie,
dziewictwo na klatce schodowej z żołnierzem.
Mieć brzuch i nie mieć dziecka.

Ty wiesz; jak to jest być szybką, zamknąć się w łazience,
leżeć. Mam jeszcze wosk w skrzydłach. Ty nie
musisz nadal skręcać włosów.

Tamara

Tamara jest dwuadresowa
choć imię sugeruje trzeci adres
Tamarze wybrał imię ojciec
na cześć kobiety
z którą nie mógł mieć dzieci

Tamara płodzi wiersze
jak pieczarkarnia pieczarki
na wyższych i niższych poziomach
z lubością zapisuje każdy epizod
Jest tak efektywna jak
afektywna

Kiedy przestaje pisać leży
leży i patrzy patrzy i leży
leży i leży nie śpi i patrzy
patrzy nie widzi nie widzi
nic nie widzi nic nie może
zapisać

Tamara ma iskrę bożą
i sole litu w apteczce
których nie chce połykać
Nie będzie leczyć się przecież
z poetyckich uniesień

Nawroty, czyli o Ewce z pierwszego piętra, której nie boją się tylko gołębie

W marcu Ewka zostaje Chrystusem.
Zbija deski, nabija gwoździe,
potem siebie. Zmartwychwstaje
w połowie maja. Spotykam ją
na przepustkach ze szpitala.
Jest nieco zgaszona, nieco
grubsza. Siedzi na czwartym
stopniu. Czeka. Mówi
jak ją leczą z Boga.
I staje się. Ewce
błyszczą oczy.
Głosi:
Jestem Piotrem. Jestem Skałą.
Jestem Dobrem. Ty jesteś Tomaszem.
Może jestem. Może nawet jestem
Złem, z którym rozprawi się Ewka.



Sabina Kuśmicka

Zamieć

W świecie pozorów
trudno znaleźć wytchnienie.

Z dnia na dzień życie gubi się
w domysłach
w snach
i drwinach
w niespodziewanych chwilach słabości.

Spójrz na piramidy
zakrzywione i kanciaste piętrzą się
w trybach geometrycznych trójkątów.

Wszystko pociemniało
liście ziemia. Błysk i grzmoty
w czasie burzy kłęby chmur
i mroczne kałuże. Deszczu
niecierpliwie krople.

Zamknięte bramy smutku.

Ocean pustki

W przestrzeni obraz wychodzi poza słowa
zapiera dech w piersiach.

W innym wymiarze
budzi niewyobrażalne doznania.
Porywa.

Zbliża się do nieba
kreuje groźę sytuacji. Słońce
oświetla śnieg
na zboczach gór. W promieniu kilku
kilometrów
nie ma drzew.

Robi się zimno
chmury są coraz cięższe
krople deszczu pochłania noc.

Śmierć skrada się górską ścieżką.

Porządek rzeczy

Jak w teatrze
cały wszechświat
gra w sztuce
rozpisanej na role.

Rozpoczyna się spektakl
północny wiatr
zapowiada zmiany
w repertuarze pogody

w czarny charakter
wciela się
burza z piorunami.

W drugim akcie
świeci księżyc odbity w wodzie.
Nad ranem opada mgła

jak kurtyna.

Za kulisami gaśnie gwiazda
strącona z piedestału.

Na drodze mlecznej
krążą
beziemne planety

w odwiecznym tańcu życia.

Zimny błękit

W zaułkach ulic nikt nie czeka.

Na huśtawce uczuć
dwoje ludzi
składa
z bezradnych nocy
kawałki szczęścia.

Odległość nie do pokonania
zamyka rozdział kropką
nad żalem. Zimny księżyc świeci
na niby. Twarda rzeczywistość
toczy boje o miejsce na sentymenty.

Niespokojne resztki snu
pewne swojej ciemności
nie chcą się obudzić do życia
z letargu i niemocy.

Fetysz

Talizman ze starych dat
i kilka zimnych opali chowam
głęboko w kieszeni
na szczęście. Odprawiam obrzęd:
odpędzam natrętne myśli
prześwielone
we śnie
przypuszczenia
bez rysów twarzy toksyczne związki.

Zatrzymam snop ognia
który we mnie jak grzech – płonie.

Obrót historii

Ukryta wśród tłumu wybiegam
z głębi snu do jawy
powłóczę nogami.
Z obydwu stron obserwuję
słabe konstrukcje i nierealne istnienie.

Nakręcam cyfry
niepewną ręką liczę
zbyt wiele sprzecznych głosów.
Omiotam z kurzu schowane słowa i nagle
skojarzenia

(mogą jeszcze coś znaczyć).
Z urwanych zdań strzępki zbieram
ciszą jak makiem zasiał
krzykiem oczu przed atakiem
i po nim. Układam bukiety
ze zwiędłych myśli

uschnęły w podmuchach wiatru.

Śnieg

Choć w mojej duszy nie ma poezji
i śladu tego czego mogłabym się spodziewać
ocal wiersze
czyste i niespokojne.

Pod strażą aniołów wpadam w trans
oddaję się nocy i rytuałom codzienności.

Nic nie wiem o swoim wnętrzu
kiedy wystąpi przeciw prawdzie.

Z żalu płynie mądrość
pewne rany nigdy się nie zagoją.

Ocal mnie od siebie nawet wbrew sobie.

Jesteś mi potrzebny

Brak mi słów gdy czytam od ciebie listy
przeznaczone tylko dla mnie.
Taki piękny brak słów.
Może westchnienie ściszone prawie do szeptu
niepatetyczna mowa.
Wszystkie kolory tęczy
nawet ten najpiękniejszy
zielony kolor moich oczu.

Zmącona cisza

Zużyły się symbole i gesty.

W starej recepcie
wyczytać można zapis
pełen ironii
i dystans.

Wystarczy otworzyć żywoty świętych
zejść nisko doświadczyć siebie
i dojść do sedna

bez patosu zbędnych sentymentów
i wyrzutów sumienia.

Naprzeciw pierwszej zieleni
mieni się w słońcu
ziarenko prawdy.

Kiedy dojrzeje
chwycę w dłoń. Ciepło
spłynie milczeniem.

Czarne pióro

Czas nauczyć się życia od nowa
i prawdy o prawdzie.
Zbierać piórka z dziecinną dorosłością
jako dekoracje do poezji
fragmenty nieprzespanych nocy
i krótkie oddechy.
Pisać o innym życiu
czarnym piórem o żywych ludziach.

Danuta Gil-Łowkis

Stefan (2)

Spoglądała z niego smutna dziewczyna ubrana w szarozieloną sukienkę, okryta czarnym, koronkowym szalem, z włosami ściągniętymi do tyłu, w które wpięta była kępa również czarnych kwiatów. Zdjęcie miało niezwykłą wymowę, ale zdecydowanie bardziej niezwykły był fakt, że po raz pierwszy zobaczyłem je, zresztą po wielu latach, wśród rodzinnych zdjęć Leszka. – Skąd je masz? – zapytałem odruchowo. – Przysłała mi po waszym ślubie – powiedział. Musiało tak być, skoro na odwrocie napisała: „Na pamiątkę – bratowa Ewa”. Dlaczego nigdy mi go nie pokazała? Mieliśmy ze ślubu bardzo dużo zdjęć, które oglądaliśmy wielokrotnie. Dlaczego nie natknąłem się na nie? Czyżby ukrywała je przede mną? Zieloną sukienkę pamiętam, ale dlaczego i skąd wzięła te czarne kwiaty i szal?

To były pierwsze pytania, które sprowokowały kolejne. Dziś, po śmierci Leszka, już nikt niczego nie wyjaśni.

Ciekawe, czy wszyscy zastawiają na siebie podobne pułapki, tak jak ja to zrobiłem? Były przecież pytania, na które mógłbym uzyskać odpowiedź, na przykład, jaki był początek? Co się stało wtedy na plaży, zanim mi pokazał Ewę? Czy ją poznał, czy jedynie zobaczył? A jednak nie zapytałem, bo bałem się odpowiedzi. Upłynęły lata, byłem przekonany, że zatarła się we mnie pamięć o Ewie, a mimo to nie chciałem usłyszeć, że coś ich łączyło. Dlatego wyłącznie sobie zadawałem pytania – skąd Ewa miała adres Leszka, skoro nigdy go jej nie dałem, i dlaczego, gdy Leszek odwiedził mnie w Krakowie, tak wnikliwie nam się przyglądała? Może po prostu spostrzegła, że nas pomyliła. Byliśmy przecież wtedy niezwykle do siebie podobni, szczególnie z oddalenia i w letnim słońcu.

Chyba kończyła się noc. Zgasilem światło i gapilem się w okno, za którym stała ni to biała, ni szara, ni niebieskawa mgła. Jasność z trudem przebijała się przez mgielną masę i zamiast wyodrębnić z mroku przedmioty, odbierała im cechy realności. Zapatrzeni i zagubiony w upiornej scenierii rodzącego się poranka, pomyślałem, że wciąż będę zadawał sobie bezsensowne pytania i szukał na nie odpowiedzi.

Pamiętam, jakby to było wczoraj. Wyszedłem z łazienki i natknąłem się na Sabinę, służącą teściów. – Pani tutaj? Co się stało? – zapytałem. – Ewunia zasłabła – wyjaśniła zdenerwowana.

Po tym zdarzeniu, które miało miejsce z rana, Ewa przespała cały dzień. Mimo wizyty lekarza oraz przyjętych leków wciąż była słaba

i senna. W domu atmosfera stała się ponura. Teściowie zamykali się w swoich pokojach, nie przychodzili na wspólne posiłki. Jadałem sam lub w towarzystwie stale milczącej Saby.

Kłopoty z Ewą zdrowiem, początkowo wyglądające niewinnie, wystąpiły niedługo po ślubie, jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Ani przez moment nie traktowałem ich serio, a o tym, że mogą być zwiastunem czegoś poważnego, groźnego, nawet nie pomyślałem. Byliśmy przecież młodzi, silni młodością i chęcią odniesienia sukcesu w zapasach z życiem, dlatego nie wdawałem się w niepotrzebne rozważania, oczekiwałem wyłącznie pomyślnych dni. Przede wszystkim byłem skupiony na sobie, byłem szczęśliwy i dumny, że spełnia się to, co zaplanowałem, że potrafiłem zamiar doprowadzić do wyznaczonego końca. Wydostałem się z biedy i prostactwa, wszedłem do rodziny i poprzez nią do środowiska, które wiele znaczy. Należało tylko nie zaprzepaścić szansy, którą było małżeństwo z Ewą.

Pod koniec trzeciego tygodnia u Ewy pojawiły się oznaki powrotu do zdrowia. Zaczęła wstawać i usiłowała przekonać najbliższych, że wszystko wraca do normy. Łóżko zamieniła na fotel, a nocną bieliznę na dzienny strój. Powrót był dla niej trudny, wymagał ogromnej siły woli. Ewa to szczupła, wysoka kobieta o powolnych, pełnych godności i elegancji ruchach. Zawsze miała widoczną w oczach ciekawość życia i ludzi, których ceniła i podziwiała. Teraz, po chorobie, z lekka się pochylała i jakby przykurczyła, poruszała się z trudem, a jej błyszczące oczy straciły blask i zainteresowanie toczącymi się wydarzeniami. Gdy któregoś dnia stanęła w drzwiach do mego pokoju, byłem szczerze zaniepokojony. – Ewa – powiedziałem – chyba jesteś za słaba na to, żeby wstawać. Usiądź wygodnie, a ja, jeżeli trzeba, przyniosę ci coś do okrycia. Zrobiła to i zapytała, gdzie odłożyłem zdjęcia ze ślubu, bo chciałyby je przejrzeć. Przyniosłem wszystkie. Nie sięgnęła po nie od razu. Długo siedziała, milcząc.

– Jesteś taka zamyślona. Czy coś się stało? – zapytałem.

Ewa zwlekała z odpowiedzią. Spuszczoną głowę podniosła po chwili. Nie spojrzała na mnie, wzrok skierowała na okno, a może na widoczne za oknem gałęzie gruszy, którą sama w dzieciństwie posadziła. W mojej obecności nigdy dotąd nie była taka poważna, wręcz nieobecna. Dlatego nadal pytałem: – O czym w takim skupieniu myślisz?

– Przyszłam... – odezwała się cichym głosem – aby poprosić cię o wybaczenie.

– O czym ty mówisz? – powiedziałem zdumiony, ale i z wyraźną ulgą, bo przez moment miałem wrażenie, że usłyszę coś złego. – Ewka, zapamiętaj! Choroba jest chorobą. Przed nami całe życie. Kłopoty miną.

Któregoś z majowych dni Ewę zabralo pogotowie. Powoli zaczynałem rozumieć, że dzieje się coś niedobrego, coś, czego nie przewidziałem, co może zburzyć moje życiowe plany. Regularnie bywałem w szpitalu, bacznie ją obserwowałem i denerwowałem się, że nie widzę poprawy.

To był piękny, czerwcowy dzień. Gdy przyszedłem, przy łóżku stali rodzice. Mimo długotrwałych kłopotów ze zdrowiem Ewa wyglądała ładnie. Ciemna oprawa oczu na tle bardzo bladej twarzy na przekór chorobie zdawała się ją ożywiać. Wzrok przez moment jakby nabrał dawnego blasku. Spojrzała na ojca. – Pomóż mu – poprosiła. Patrzyli sobie w oczy, aż on się rozplakał. – Córeczko, nie mogę, już nie mogę – niemal wyszeptał, ale ona chyba go słyszała. Popatrzyła jeszcze na matkę, powiedziała „kocham” i przechyliła głowę. Staliśmy w milczeniu. Rodzice cichutko płakali.

Spojrzałem na nich i na Ewę. – Ewa, posłuchaj... Ewa... przyniosłem ci...

– Ona nie żyje – bardzo opanowanym głosem przerwała mi matka. – Ewunia umarła, odeszła.

Nie rozumiałem. – Jak to nie żyje? Co ona mówi? Umarła? Kiedy? – Na pozór proste słowa w chaotyczny sposób pytały o niespodziewane wydarzenie, szukając łatwej, jasnej odpowiedzi. – Nie, to niemożliwe – myślałem. – Przecież nic się nie stało. Szpital funkcjonuje, wszystko wygląda jak zawsze. Nie! Tak się nie umiera! Jeżeli nie ziemia, to bodaj łóżko powinno drgnąć. I oni – teściowie, tacy chłodni, zupełnie pozbawieni emocji. Skąd matka wzięła przekonanie, że Ewa odeszła? Co wie, czego ja nie wiem? Jak zobaczyła granicę między życiem i śmiercią? Dlaczego ja nic nie zauważyłem? A Ewa? Taka spokojna, opanowana. Czyżby pogodzona ze śmiercią? Powiedziała „kocham”. Czy przestała istnieć, zanim dotarło do mnie znaczenie tego słowa? A poza tym nie pożegnała się ze mną. Z nimi tak, a ja? Nawet na mnie nie spojrzała. O kim ona rozmawiała z ojcem? O mnie?

Stałem odrętwiały, nierozumiejący niczego. Widziałem pielęgniarkę, jak wręczała rodzicom zieloną kopertę. Chciałem krzyknąć: – Co zostawiła dla mnie?!

Błąkałem się po mieście. Do domu wróciłem po pogrzebie, o którym poinformowała

mnie zauważona gdzieś klepsydra. W holu minąłem Sabinę i wszedłem do naszego mieszkania. Ogotiłem się, wziąłem kąpiel, przebrałem i spakowałem do podróżnego worka. Zmieściło się wszystko, bo moich rzeczy było niewiele. Pamiętałem o pieniądzach. Zabrałem wszystkie, natomiast na widocznym miejscu zostawiłem obrączkę. Po raz ostatni ogarnąłem wzrokiem pokój, po czym zszedłem na dół. Rodzice byli w gabinecie ojca.

– Chciałem się pożegnać – powiedziałem – i podziękować za wszystko, za czas spędzony w państwa domu. Zabieram rzeczy osobiste i pieniądze, które dostaliśmy z Ewą od kilku osób w prezencie ślubnym. Oddaję klucze. Do widzenia!

Zamykając furtkę, spojrzałem jeszcze na dom, po czym ruszyłem na dworzec. Życie musiałem organizować od nowa.

To było warszawskie Stare Miasto, ławeczka na ścieżce biegnącej górą skarpy, nieopodal gotyckiego kościoła. Gdy przyjechałem do Warszawy, po pozytywnym załatwieniu spraw na uczelni byłem tak szczęśliwy, że postanowiłem powłóczyć się po mieście i po prostu zablądzić. Już szarzało, gdy znalazłem tę ławeczkę. W trakcie wędrówki otarłem nogi, więc przysiadłem, chcąc im ulżyć, i niemal natychmiast usnąłem. Ławka jednym ze swych końców była wepchnięta pod rozrośnięty krzak, który nocą spełnił rolę osłony. Nad ranem obudziło mnie przenikliwe zimno oraz krople rosy kapiące na twarz. Zaskoczony sytuacją, w której się znalazłem, rozgrzewałem skostniałe ręce, myśląc o tym, że powinienem zaliczyć siebie do szczęściarzy. Słyszałem od kogoś, że nad Wisłą warszawscy złodzieje nocami „sprzedają cegłę”, a mnie przecież nic się nie stało, nawet nie nabito mi guza, oraz że wciąż mam zabrane z Krakowa niemałe pieniądze. Uspokojony rozejrzałem się. W dole leniwie płynęła Wisła miejscami przykryta mgłą. Nigdy nie zrobiła na mnie takiego wrażenia jak wtedy. Patrzyłem na rzekę ciekawym wzrokiem, ale najbardziej podziwiałem wylaniające się z mgieł wschodzące słońce, które nieśmiało oświetlało mi twarz i próbowało ogrzać.

W Warszawie prowadziłem zwykłe studenckie życie. Czasami udawało mi się dorobić do stypendium, ponieważ pieniądze przywiezione z Krakowa starałem się trzymać na czarnej godzinie. Kontakt z rodziną nie utrzymywałem, bo i o czym miałem im pisać, przecież nic znaczącego się nie działo. Leszek nie poszedł na studia. Zamieszkał z Kostkiem. Na podwórku budynku wspólnie uruchomili nieduży warsztat stolarski, który z czasem zaczął przynosić niezły dochód. Kiedyś wysłałem Leszkowi kartkę, że przeniósłem się do stolicy. Podałem nowy adres, na który przysłał zawiadomienie o ślubie. Tak pojawił się powód, bym zawiątał do Gdańska.

Przyjechałem na Wybrzeże po czterech

latach pobytu w Krakowie i trzech w Warszawie. To kawał czasu. Stare ścieżki prowadzące ze stacji przemierzałem z przyjemnością. Do domu wszedłem cichutko, licząc, że niespodzianka wywoła radość mamy, tymczasem patrzyła na mnie stojąca na środku pokoju Marysia. Milczała. – Co tak stoisz jak skamieniała? Nie przywitasz się? – powiedziałam. – No cóż! Dzień dobry! – mruknęła i weszła do pokoiku, który kiedyś był moim pokojem. – Co uciekasz? Gdzie mama? – zdążyłem zapytać, zanim zamknęła drzwi.

W tej sytuacji pokręciłem się trochę po mieszkaniu, wypilem jakiś sok, zdjąłem buty, położyłem się na tapczanie i zasnąłem.

Obudziło mnie szarpnięcie. Usłyszałem: – Wstawaj! – Spojrzałem niezbyt przytomnie. Nade mną stał ojciec, który powtórzył: – Wstawaj i oddaj klucze! – Usiadłem. – Mam w marynarce, a o co chodzi? – Ojciec zdjął marynarkę z oparcia krzesła. – W tej? – zapytał i rzucił mi ją. – Klucze! – powtórzył, wyciągając rękę. Podałem je i dopiero wtedy zauważyłem wpatrzoną matkę i siostrę. Chciałem jeszcze zapytać, co się dzieje, ale ojciec nie dał mi takiej szansy. Powiedział: – A teraz wyjdź i zapamiętaj, że to już nie jest twój dom.

– Ale, tato... – próbowałem podjąć rozmowę, lecz on krzyknął „wyjdź!” i łapiąc mnie za koszulę, wypchnął przez otwarte drzwi na wspólny z Kurowskimi przedpokój. Upadłem, uderzając ręką o brzeg stojącego pod ścianą stolika. To wtedy stukłem w zegarku szkło.

W trakcie rozmyślań dni i noce splątały się. Być może momentami byłem w półśnie, a może miałem gorączkę. Umysł, podsuwając przed oczy elementy dawno zapomnianych zdarzeń, zaczął bawić się ze mną w zgadywanek, jakby chciał sprawdzić, czy je rozpoznam i czy są wśród nich te, które wciąż coś ważą. Znalazłem się w świecie obrazków wyrwanych z kontekstu, wśród zaskakującego zestawu drobiazgów z mego życia – czyjaś dłoń, chybotający na wietrze liść, jakieś rozsypane guziki, zablocony but czy kosz pełen ziemniaków. Część z nich stała się niemal obca, rozpoznawalna z trudem, a przecież z nich tworzyłem mój świat, to były moje odkrycia i zadziwienia. Kiedyś wszystko mnie ciekawiło, a teraz wolałbym zapytać, co niezwykłego ukrywały detale? Dojrzały człowiek już nie chce zastanawiać się, dlaczego ogromna, różowa ćma, której bardzo długo się przyglądałem, przykuła moją uwagę albo dlaczego ponad godzinę obserwowałem płynącą w strumieniu wodę. Czas wszystko zmienił. Przychodzi dzień, gdy detale nie mają znaczenia, gdy chce się zobaczyć życie z ogólnej perspektywy.

Zastanawiałem się, czy te przypomnienia, zbliżenia minionych chwil mogą dziś cokolwiek znaczyć? A wtedy? O czym mnie informowały, o jaką wartość chciały wzbogacić moje życie? Wylaniały się pytania, dużo

pytań, wśród nich myśl: „Czy to ważne?! Czy kiedykolwiek było ważne?”

Przesuwając wzrok po ścianach i meblach, powoli otrząsałem się ze stanu półsnu, półjawy. Rozmyślenia z trudem powracały w sensowniejsze rejony. Przez chwilę byłem zapatrzony na leżący nieopodal prezent od ojca, na zegarek, i pytałem siebie: – Po ilu latach zaniósłem go do zegarmistrza? Po pięciu? Nie! Po siedmiu, może po ośmiu. No tak, bo przecież na początku zżerała mnie złość, a najbardziej wściekałem się na Marysię. Nie wiem, dlaczego na nią. Próbowałem dociec, dlaczego jej nie lubię? Czemu nigdy jej nie lubiłem? Musi być jakiś powód, myślałem.

Zjadałem kolejne jabłka, poprawiałem opadające, źle dopasowane okulary i wciąż gapilem się na zegarek.

Miałem kiedyś przyjaciela, był nim Karol, ale nie cenilem przyjaźni. Chciałem gdzieś biec, coś osiągnąć. Gdy dostrzegłem nędzę, w której rosłem, chciałem przede wszystkim od niej uciec, więcej, chciałem zostać kimś znaczącym. Dziś wiem, ile mu zawdzięczam, ale wtedy był dla mnie tylko kolegą z klasy i chłopcem z bogatego domu, a przecież to dzięki Karolowi otrzymaliśmy dwa pokoje z kuchenką w przedwojennym mieszkaniu jego wuja, Leona Kurowskiego. Ze względu na duży metraż Kurowscy musieli przyjąć współlokatorów. Na pomysł z naszą rodziną wpadł Karol, a jego wuj potrafił sprawę załatwić.

W Warszawie lubiłem Nowe Miasto, najczęściej tam umawiałem się z kolegami. Kiedyś w drodze na spotkanie wstąpiłem do baru Pod barbakanem. Wszystkie stoliki były zajęte. Przy jednym siedziała samotna kobieta. Podeszedłem i zapytałem: – Przepraszam, czy mogę przysiąść? Chciałem tylko wypić kawę.

Chyba nie zamierzała wyrazić zgody, ale zaintrygował ją mój głos, znajomy głos. Szukając właściwego skojarzenia, powoli podniosła głowę znad pisma, które przeglądała dla zabicia czasu. – Stefan? – zapytała niedowierzająco.

Patrzyliśmy na siebie bardzo zdumieni. To była Wiktoria, matka Karola.

– Oczywiście, siadaj – zaprosiła. – Czekałam na Karola. Zaskoczyłeś mnie. Zdawało mi się, że mieszkasz w Krakowie, a tymczasem ty chyba ożeniłeś się z warszawianką. Czy tak?

Pytanie o żonę poruszyło moją czułą strunę, ożywiło czas, o którym chciałem zapomnieć. Ani o śmierci Ewy, ani o przyczynach wyjazdu z Krakowa jeszcze z nikim nie rozmawiałem. Nawet wysyłając do Leszka list, wspominałem jedynie, że mieszkam w Warszawie. Czyżby teraz dla zaspokojenia zwykłej babskiej ciekawości miałem opowiadać o sobie kobiecie, której nie lubiłem?

cdn.

Katarzyna Eremus

Automobilem przez Europę

„Z wrażeń felietonisty” Mariana Gawalewicza (I)

W 1887 roku Berta Benz w towarzystwie swoich dwóch synów wybrała się w podróż do Phorzheim, aby odwiedzić mieszkającą tam matkę. Nie pojechała jednak jednym z popularnych wówczas środków transportu – poruszającym się po drogach tradycyjnym powozem lub nowocześniejszym, szybszym i pod wieloma względami wygodniejszym od powozów pociągiem. Zdecydowała się na inny pojazd – niesprawdzony jeszcze na dłuższych dystansach samochód skonstruowany przez jej męża, Karla Benz. Zbudowany w 1885 automobil Benz nie wzbudzał dotąd większego zainteresowania wśród sprzedawców ani kupujących.¹ Podejmowane przez konstruktora próby prezentacji pojazdu, mające przekonać właścicieli sklepów do wprowadzenia do oferty nowego produktu, nie przynosiły spodziewanych rezultatów – na samochody brakowało chętnych klientów. Niewiele pomogła również prezentacja na wystawie paryskiej, gdzie automobil nie wyróżniał się dodatnio spośród innych powozów, znacznie bardziej eleganckich i dopracowanych pod względem estetycznym.² Nie odmawiano wynalazkowi Benz innowacyjności, podobnie jak nie kwestionowano sprawnego działania. Mimo to większość oglądających wątpiła, aby ten pojazd mógł się stać użyteczny i praktyczny, skoro istniejące środki lokomocji – powozy oraz pociągi – w wystarczającym stopniu zaspakajały potrzeby podróżnych. Uważano, że na zdominowanym przez pojazdy konne rynku nie ma miejsca na produkt odróżniający się od pozostałych jedynie środkiem napędu, a do tego mający mało atrakcyjny wygląd zewnętrzny.³

Niezrażona chłodnym przyjęciem ze strony potencjalnych inwestorów, klientów oraz prasy, Berta Benz uważała, że pomimo trudnych początków samochodu z czasem staną się popularnym środkiem transportu, stopniowo zastępującym transport konny. W jej trafnej ocenie trudności ze sprzedażą nie wynikały z konstrukcji czy wyglądu pojazdu, ale ze źle przeprowadzonej akcji reklamowej, adresowanej do zbyt wąskiej grupy odbiorców.⁴ Ponadto umieszczając samochód pomiędzy tradycyjnymi, ale wyglądającymi bardziej elegancko pojazdami, nie wyeksponowano jego pragmatycznych cech, jak łatwość obsługi lub umożliwienie podróżowania na długich dystansach bez konieczności zmiany koni czy uzależnienia od tras dyliżansów. Według Berty należało zmienić strategię marketingową, a automobil przedstawić szerszej publiczności przede wszystkim jako

pojazd ułatwiający transport i tak prosty w obsłudze, że każdy, kto poznał podstawowe zasady kierowania, mógł z niego bezpiecznie korzystać.

Celom marketingowym miał posłużyć dobrze przemyślany i zorganizowany wyjazd do Phorzheim. Zabrawszy bez wiedzy męża stojący w szopie samochód, Berta i jej dwaj synowie wyruszyli w liczącą około stu kilometrów podróż, która – chociaż nie obyła się bez przeszkód i wymagających doraźnych napraw awarii⁵ – zakończyła się wielkim sukcesem. Podczas przejazdu przez niektóre miejscowości samochodowi towarzyszyła grupa cyklistów, pojawiali się również mieszkańcy entuzjastycznie witający podróżnych. W prasie umieszczano relacje z niezwyklej podróży, tak bezpiecznej, że mogła ją odbyć nawet kobieta i dwóch chłopców, bez koniecznej w ówczesnych latach męskiej opieki. Zainteresowanie samochodami Benz – i zarazem liczba zamówień na nie – gwałtownie wzrosło, a odważna podróż pani Berty zapoczątkowała rewolucję w komunikacji, transporcie oraz podróżowaniu.

Wynalezienie samochodu przypadło na okres gwałtownego rozwoju turystyki oraz mody na zagraniczne wyjazdy, szczególnie w okresie wakacyjnym.⁶ Popularność podróży wzrosła między innymi dzięki gwałtownemu rozwojowi kolei, przypadającemu głównie na drugą połowę XIX wieku. W tym okresie rozbudowywano sieci kolejowe w krajach Europy Zachodniej.⁷ Zmodernizowano składy pociągów, wzbogacając je o najnowsze rozwiązania technologiczne, co przyczyniło się do zapewnienia większego komfortu i bezpieczeństwa podróży.⁸ Kolej jednak miała swoje ograniczenia. Nie pozwalała na podróżowanie bezpośrednio do celu. Istniały połączenia pomiędzy dworcami, jednak później podróż trzeba było kontynuować powozem lub dyliżansem, czasem zaś szlakami wodnymi.⁹ Samochód pozwalał dotrzeć do celu bez konieczności zmiany środka transportu, uniezależniał od schematu linii kolejowych oraz rozkładu jazdy. Pozostawał wprawdzie zależny od istniejącej sieci dróg, jednak umożliwiał zwiedzanie miejscowości leżących z dala od kolei, co przyczyniło się do ich rozwoju ekonomicznego, a dla mieszkańców otwierało nowe perspektywy zawodowe czy inwestycyjne.

Podróże, w szczególności te o charakterze turystycznym i poznawczym, często stawały się tematem utworów literackich lub z pogranicza literatury.¹⁰ Często nie ograniczały się

one do przedstawienia wyłącznie wydarzeń związanych z wyjazdem ani odtworzenia przebytej przez autora drogi. Zawierały również informacje o zwiedzanych miejscowościach i ich atrakcjach dla potencjalnych gości. Popularne były korespondencje zagraniczne publikowane w prasie. Korespondenci przedstawiali własne opinie oraz spostrzeżenia odnoszące się do obecnego miejsca pobytu, a w przypadku korespondencji zagranicznych, kraju i jego mieszkańców. W wielu przypadkach korespondencje dotyczyły także kwestii istotnych dla potencjalnych turystów, w tym narodowości przebywających tam podróżnych, jakości hoteli, prowadzonego przez mieszkańców i gości stylu życia.¹¹ Nierzadko zawierały także wzmianki dotyczące zagadnień o charakterze społecznym czy ekonomicznym. Przykładem takich korespondencji mogą być listy pisane przez Natalię Krzyżanowską do „Kuriera Codziennego”, gdzie obok opisu miast niemieckich czy belgijskich pojawiały się zagadnienia związane z aktywizacją zawodową środowiska kobiecego¹² oraz rozwijanymi lub modernizowanymi w krajach europejskich dochodowymi gałęziami przemysłu.¹³ Wraz z rozwojem środków lokomocji, a także przez rozbudowę połączeń kolejowych i drogowych, przybywało wspomnień z podróży pisanych nie tylko przez znanych i utalentowanych pisarzy, ale również przez autorów znacznie mniej uzdolnionych, co zresztą Władysław Rabski odnotowywał w recenzji drukowanej w „Kurierze Warszawskim”:

Więc znowu opisy podróży? Namnożyło się tego tyle w literaturze, że człowiek mimo woli ziewać zaczyna, gdy mu na biurku redakcyjnym położy nowy tom zapisków podróżniczych. Nad tą gałęzią piśmiennictwa pastwią się ze szczególną zawziętością różni grafomani i zdyskredytowali ją też porządnie w opinii.¹⁴

Do tekstów poświęconych tematyce podróżniczej należy również utwór Mariana Gawalewicza *Z wrażeń felietonisty. Tysiąc kilometrów samochodem*. Autor, popularny dramaturg, powieściopisarz i publicysta, doceniany przez krytykę między innymi za swoje zacięcie humorystyczne oraz swobodny, lekki styl pisania¹⁵, opisał swoją wycieczkę samochodową z Paryża do Karlsbadu. Tekst ten łączy w sobie wartości poznawcze, miejscami zbliżając się po trosze do formy przewodnika turystycznego, z opisem wrażeń z podróży nowym, popularnym w Europie Zachodniej środkiem transportu, z którego

Gawalewicz, jak sam twierdził, dotąd nie korzystał. W początkowej części utworu pisarz wyjaśniał, że początkowo celem podróży miał być zalecony przez lekarza Karlsbad, w ówczesnym czasie jedna z najpopularniejszych miejscowości uzdrowiskowych.¹⁶ Miał tam pojechać pociągiem prosto z Warszawy. Podsunęty przez przyjaciela pomysł, aby pojechać do Karlsbadu przez Paryż, w pierwszym momencie uznał za niedorzeczny. Natychmiast zmienił zdanie, gdy przyjaciel, rozwijając propozycję, wyjaśnił, że po przyjeździe pociągiem do Paryża przesiądą się do samochodu i w ten sposób, ułożoną wcześniej trasą przez Francję i Niemcy, dojadą do celu:

Pojedziesz tedy do Paryża, gdzie się spotkamy. W umówionym dniu i o oznaczonej godzinie znajdziesz mnie w samochodzie, do którego wskoczysz jak najprędzej, aby czasu nie tracić, bo wiesz, że tego nie lubię, wdziejiesz płócienny chałat od kurzu, czapkę jedwabną z okularami ochronnymi, naciągniesz rękawicę niciane i ruszmy prostą drogą do Karlsbadu, według z góry ułożonej marszuty.¹⁷

W okresie powstawania *Z wrażeń felietonisty* samochody w krajach zachodnioeuropejskich nie były już nieznaną nowością. Stosunkowo często pojawiały się na drogach, jakkolwiek należy pamiętać, że motoryzacja w pierwszym rzędzie docierała do miast; w wielu miejscowościach wiejskich automobile nadal budziły sensację. Pomimo dość wysokiej ceny samochody zdobywały rosnącą popularność, przede wszystkim ze względu na swoje walory praktyczne, potwierdzane w codziennym życiu oraz w pracy. Dostrzeżono także potencjał sportowy samochodów. Już w 1887 roku odbył się pierwszy wyścig samochodowy.¹⁸ Chociaż początkowo wyścigi i rajdy nie miały wielu uczestników, to na początku XX wieku stały się popularnym, choć niebezpiecznym sportem¹⁹, przyciągającym znaczne rzesze widzów. Dla wielu pasażerów i kierowców jazda samochodem była też nową formą rozrywki, przyjemnym sposobem spędzania wolnego czasu.²⁰ Gawalewicz zaznaczał, że pomimo dosyć krótkiej historii motoryzacji, automobilizm już stał się zjawiskiem społecznym, zmieniającym styl i tempo życia korzystających z niego ludzi. Chociaż, jak pisał, samochody niosły pewne zagrożenia dla zdrowia, uważał, że podróżowanie nimi potrafi uzależnić każdego, kto chociaż raz z nich korzystał, nawet jeśli podróżował tylko w roli pasażera:

Automobilizm należy dzisiaj w Europie do najmłodniejszych sportów, staje się nową chorobą, zawraca głowę ludziom, którzy szukają silnych wrażeń, choćby kosztem własnego karku, jest stanowczo przyczynkiem do neurozy naszego wieku, wyradza się w istną automobilomanię, – wszystko to prawda, a jednak kiedy go się raz zakosztowało, można w nim tak zasmakować, jak... w całowaniu.²¹

Przedstawiając popularność samochodów

w krajach zachodnioeuropejskich, Gawalewicz zauważał, że na ziemiach polskich automobilizm rozwijał się zdecydowanie wolniej. Pisarz podkreślał dystans istniejący pomiędzy poziomem motoryzacji na Zachodzie, a jej zdecydowanie wolniejszym rozwojem w Królestwie Polskim. W jego ocenie nie było to zjawisko wyjątkowe. Podkreślał, że Polacy zazwyczaj pozostają zapóźnieni w stosunku do Europy, jeżeli chodzi o przyjmowanie nowych rozwiązań technicznych czy zmianę stylu życia. Według jego słów dystans był na tyle duży, że to, co za granicą przestawało już być nowością, a nawet, jak właśnie samochody, stopniowo wchodziło do codziennego użytku, na ziemiach polskich nadal wywoływało sensację:

U nas automobilizm jeszcze się tak bardzo nie rozpanoszył; my jadamy u drugiego stołu Europy i zawsze o jedno danie później dostajemy na półmiskach; – kiedy Zachód się nakarmi już i przesyca jaką nową potrawą, to my dopiero zaczynamy w niej smakować. (...) ²²

Ze względu na zaznaczoną wyżej różnicę pomiędzy rozwojem motoryzacji na ziemiach polskich i w krajach zachodnioeuropejskich, Gawalewicz poświęcił w utworze sporo miejsca na zaprezentowanie czytelnikom samochodu pod względem wyglądu i możliwości. Opis adresował do mieszkańców prowincji, co pośrednio świadczyło o wzrastającej popularności pojazdu, z którym mieszkańcy miast – mimo podkreślanego przez pisarza dystansu dzielącego Królestwo Polskie i kraje Europy Zachodniej – musieli się już zetknąć.²³ Prezentacja samochodu nie zawierała danych technicznych ani nie pokazywała sposobu działania maszyny. Nieliczne, ale konkretne informacje na ten temat zostały zawarte dopiero w końcowych partiach książki, gdzie Gawalewicz zwracał uwagę na wymogi eksploatacyjne oraz dbałość o stan techniczny pojazdu. Ekspresyjny, wyrażający zachwyt pisarza opis samochodu miał na celu przede wszystkim zwrócić uwagę na nowoczesność pojazdu i te z jego możliwości, które czyniły go wyjątkowym w porównaniu z tradycyjnymi środkami lokomocji. Pisarz podkreślał również, że skonstruowanie samochodu stanowiło kolejny, naturalny etap w rozwoju transportu, mający przełomowe znaczenie dla podróżowania i komunikacji. Ze względu na rozwijane prędkości porównywał go z koleją, jednak zaznaczał, że w przeciwieństwie do pociągów samochód został przystosowany do indywidualnych potrzeb i wymagań użytkowników, dzięki czemu zapewniał większą swobodę podróżowania. Zestawiał go również z rowerem, od którego jednak samochody były szybsze, a przy tym do ruchu nie wymagały siły ludzkich mięśni. Gawalewicz zauważał, że automobile łączyły dodatnie cechy obu wcześniejszych środków lokomocji. Ze względu na osiąganą przez nie prędkość, pozwalającą skrócić czas podróży,

dobrze oddawały też charakter epoki początku XX wieku, pełnej nieustannego napięcia i niepokoju.

cdn.

¹ Zob. W. Rychter, *Dzieje samochodu*, Warszawa 1979, s. 68.

² Zob. *ibidem*.

³ Zob. *ibidem*.

⁴ Zob. *ibidem*, s. 69.

⁵ Do problemów, z którymi pani Benz musiała się zmierzyć podczas drogi, należały między innymi awaria hamulców, zatkana rurka paliwowa czy przecierająca się izolacja na kablach. Zob. *ibidem*, s. 69-70.

⁶ W tym okresie wraz z rozwojem turystyki powstawały nowe hotele; zakładano także pierwsze biura podróży. Zob. K. Przecławski, *Socjologiczne problemy turystyki*, Warszawa 1979, s. 17.

⁷ Zob. A. Mączak, *Peregrynacje, wojaże, turystyka*, Warszawa 1984, s. 216-218.

⁸ Zob. T. Kemp, *Industrializacja w XIX-wiecznej Europie*, Wrocław 1998, s. 44.

⁹ Zob. A. Mączak, *op. cit.*, s. 223.

¹⁰ Opisy podróży spopularyzowały się jeszcze pod koniec XVIII wieku. Zob. *ibidem*, s. 15-16.

¹¹ Zob. A. Krzyżanowski [N. Krzyżanowska], *Frankfurt nad Menem*, „Kurier Codzienny” 1895, nr 237, s. 2.

¹² Zob. *eadam*, *Skarby Brabantu*, „Kurier Codzienny” 1895, nr 276, s. 2.

¹³ W artykułach i korespondencjach Krzyżanowskiej źródłem dochodu dla kobiet, a zarazem przemysłem mogącym przynieść wymierne korzyści gospodarce narodowej, miał być przemysł koronkarski, rozwijany na kształt istniejącego w Belgii. Pomysł ten publicystka przedstawiała w artykułach publikowanych także w innych czasopiśmie, m.in. „Tygodniku Ilustrowanym” Zob. A. Krzyżanowski [N. Krzyżanowska], *Miliony w rękach niewieścich*, „Tygodnik Ilustrowany” 1895, nr 52, s. 479-481.

¹⁴ W. R. [W. Rabski], [rec. *Z wrażeń felietonisty*], „Kurier Warszawski” 1905, nr 82, s. 3.

¹⁵ EOL [M. Wołoski], *Dziatwa Apollina*, „Przegląd Tygodniowy” 1884, nr 36, s. 409-410.

¹⁶ Zob. M. Olkuśnik, *W dalekiej podróży, na wilegiaturze, za rogatkami... O znaczeniu form wypoczynku poza miastem dla badań nad stratyfikacją społeczeństwa Warszawy przełomu XIX i XX wieku*, [w:] *Spoleczeństwo w dobie przemian. Wiek XIX i XX. Księga jubileuszowa profesora Anny Żamowskiej*, pod red. M. Nietykszy, Warszawa 2003, s. 239.

¹⁷ M. Gawalewicz, *Z wrażeń felietonisty (Tysiąc kilometrów samochodem)*, Warszawa 1904, s. 3-4.

¹⁸ W pierwszym wyścigu na świecie wystartował tylko jeden zawodnik, jednak w ciągu kilku lat popularność tego sportu, podobnie zresztą jak popularność samochodów, znacząco wzrosła, zarówno ze strony uczestników, jak i zainteresowania ze strony publiczności. Zob. W. Rychter, *op. cit.*, s. 83-85.

¹⁹ W drugim odnotowanym wyścigu kierowca został ukarany mandatem za zagrożenie bezpieczeństwa publicznego, ponieważ podczas rajdu niewiele brakło do potrącenia jednego z widzów. Zob. *ibidem*, s. 83.

²⁰ Pomimo oporu środowisk konserwatywnych, przejażdżki samochodowe szybko uniezależniły się od sztywnych zasad przyzwoitości początku XX wieku. Wycieczka samochodem panny i niespokrewnionego z nią mężczyzny nie budziła takiego oburzenia i nie rzutowała tak na reputację kobiety, jak w przypadku identycznej podróży odbywanej tradycyjnym środkiem transportu. Por. *ibidem*, s. 184.

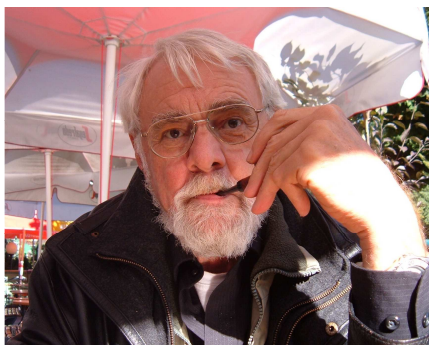
²¹ M. Gawalewicz, *op. cit.*, s. 8.

²² *Ibidem*, s. 9-10.

²³ Przed I wojną światową na ziemiach polskich nie istniała żadna fabryka samochodów, jedynie niewielkie warsztaty mechaniczne, gdzie można było naprawić samochód lub wynająć kierowcę. Wysokie ceny samochodów sprawiały, że nabywali je ludzie zamożni – arystokraci, bankierzy czy przemysłowcy. Zob. W. Rychter, *op. cit.*, s. 339-340.



Zamyślenia



Portret znajomej dziewczyny jako tekst – kolaż w szarym kolorze

Część II

– Panie doktorze, ta pani... ona chyba nie najlepiej się czuje. Zwymiotowała na dywan...

W telewizorze jakiś profesor, znakomity zresztą psychiatra krakowski, analizował stosunek do życia i śmierci w hitlerowskich obozach zagłady...

Czuła jedynie, jak z jej gardła wydobywa się... szklany głos. Było jej ponadto strasznie zimno i tak jakoś... głupio. Budując wolno myśli doszła do wniosku, że w jakimś sensie nie jest już tą samą osobą... Lekarz położył jej rękę na ramieniu, jakby czytał w jej myślach:

– Nie ma co się martwić. Musi pani teraz odpocząć...

Świat wirował w jakimś szalonym tempie, cały gabinet razem z nim, tylko stał nieruchomo za jej plecami, szorując w umywalce ręce, długo i starannie. Bała się coś powiedzieć, żeby nie skaleczyć sobie... języka o szkło, które wyraźnie tkwiło jej w ustach. Przeglądała się białemu światłu sączącemu się z okna. „Jaki piękny widok, kochanie!” Stali oparci jedno o drugie na skraju przepaści. Uwolnili się od reszty towarzystwa i umknęli w las. Robert rozpalili ognisko, ich ognisko... Nie, nie chciała teraz o tym myśleć, wspominać. Białe światło znikło, za oknem gabinetu zapadła ciemność i nie dochodziły do niej żadne odgłosy, nawet szuranie szczoteczki nad umywalką.

Obudziła się wcześniej rano. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest i kim jest.

– Coś nie w porządku? – usłyszała niski, męski głos. Lekarz pochylał się nad nią, obserwując jej twarz z etnograficznym zainteresowaniem. Oddychała ciężko i bała się odpowiedzieć, czując dziwnie tępy ból, który od podbrzusza wyrastał aż do gardła. Szklany głos... szklany, ból. Pochylił się jeszcze niżej nad nią i położywszy stanowczym gestem rękę na jej ramieniu, powiedział:

– Wołałbym, żeby pani poleżała jeszcze parę godzin... Czy nikt tu z panią nie przyjechał, nikt panią nie odprowadzał?

Zwracał się do niej jak do dorosłej kobiety, nazywał ją panią... Przecież powiedziała mu, ile ma lat, gdzie mieszka i jak się nazywa. Potrząsnęła głową przecząco i nagle zrobiło się jej wstyd. Straszliwie wstyd. Przecież ten mężczyzna ją dotykał, on przecież... Teraz dopiero uświadomiła sobie swoją tu obecność i wszystko, co się z tym wiązało. Zdjął rękę z jej ramienia i bez słowa opuścił pokój. Próbowwała usiąść na skraju tapczanu, ale nie miała na tyle siły, żeby przesunąć nogi na jego skraj. Całe jej ciało było jakby inne. Leżała płasko na plecach i nagle rozbeczała się na cały głos.

Kiedy późnym wieczorem zatrzymała taksówkę pod ich willą spostrzegła, że we wszystkich oknach pali się światło. Był czwartek i ojciec z pewnością przyjmował swoich przyjaciół.

W pierwszej chwili miała ochotę zawrócić taksówkarza, wszystko jedno gdzie. Sięgnęła nawet po notes, gdzie miała zapisane jakieś adresy, ale bała się powrotnej drogi, długiej czy bliskiej. Miała o tej właśnie porze wrócić z wycieczki szkolnej... Wymyśliła to kłamstwo na poczekaniu i ojciec nie miał powodów, aby jej nie wierzyć. Nigdy dotąd nie złapał jej na kłamstwie...

– Może wreszcie się pani zdecyduje!

Puściła te słowa mimo uszu, chociaż była cała roztrzęsiona i mogła wypalić temu kierowcy. Rzuciła mu na siedzenie zwitek banknotów i ruszyła wolno w stronę bramki. Wejdzie tak, żeby jej nikt nie widział, pomyślała i w tej chwili spostrzegła na chodniku Roberta. Stał z rękami w kieszeniach, oparty plecami o ażurowe ogrodzenie. W pierwszej chwili miała ochotę ominąć go obojętnie ale ból, który nagle ją chwycił sprawił, że usunęła się prawie w jego wyciągnięte teraz ramiona.

– Wiem, gdzie byłaś i co zrobiłaś! – wyszczał prosto do jej ucha. – Chyba się wyrzygam... Mdl mi, ty kretynko!

Następne słowa, które wyrzekł, również i ją przyprawiły o mdłości. Nigdy nie słyszała takich słów. Wśród ciemności martwiejące liście winogron szeleściły przy najbliższym powiewie wiatru. Odepchnęła go i powlekła się alejką w stronę schodów. Czuła się raz jeszcze upokorzona i zdruzgotana.

Widziała jeszcze, jak stał tam w otwartej bramce na szeroko rozstawionych nogach z rękami w kieszeniach. Tyle upokorzenia w ciągu kilku godzin. Czuła się jak podróżnik, który zapuścił się w głąb pustyni i teraz nie potrafi, nie ma już sił dowieść się do widniejącej w dali oazy, gdyż w nim właśnie zdążyła wyrosnąć pustynia, straszniejsza od tamtej. Niosła ją w sobie z coraz większym pragnieniem aż na piętro, gdzie był jej pokój. Nie, nikt jej nie spostrzegł. Słyszała donośny głos ojca i jeszcze inne głosy, rozbawione, podkręcone alkoholem.

– Ej, to ty, kochanie?

Po śmierci matki ich rodzinne stosunki rozeszły się jakby w szwach i w zasadzie każdy w domu i poza nim chodził własnymi

drogami. Było to wygodne i za wyjątkiem pani Zofii, która usiłowała wprowadzić nowy porządek, wszyscy widzieli w tym osobiste korzyści. Czwartkowe spotkania przy stoliku brydżowym nakładały na nią pewne obowiązki, sprowadzające się do zaparzania kawy, opróżniania popielniczek i gry na fortepianie, której najbardziej nie znosiła. Ojciec po prostu popisywał się nią przy każdej takiej okazji, zaś braciszek zazwyczaj zniknął na cały wieczór, wracając do domu, kiedy już było po wszystkim.

– Nie zejdiesz do nas? – głos ojca był natarczywy i prawie rozkazujący. – Opowiedz nam o wycieczce i zaparzysz kawę na twój sposób...

– Jestem bardzo zmęczona, chciałam się położyć...

Pośród gości ojca miała swoich stałych wielbicieli. Doktor Pysznik, który posyłał jej zawsze tajemnicze spojrzenia oraz profesor Brian z jej gimnazjum, wysoki, tykowany, a w dodatku autentyczny Szkot.

– Nie daj się prosić, kochanie. Mamy ochotę na kawę... Wymówiła się stanowczo, zamykając za sobą drzwi na klucz. Była załamana i nieszczęśliwa.

– Proszę cię, otwórz! Musisz koniecznie poznać doktora Motylda. Leżąc na materacu, błądziła wzrokiem po suficie, słuchając równocześnie odgłosów dochodzących zza drzwi.

– Dobrze, zaraz zejdę, ojciec – odrzekła, chcąc zapanować nad rozedrganym głosem, który nie posiadał już tej szklistej barwy. Doktor Motyld... Tak, to przecież ten sam, u którego była i który odesłał ją z dżentelmeńskim kwitkiem, jak mawiał Gustaw.

Kiedy w chwilę potem zeszła do saloniku czuła, że wszyscy ją obserwują, ale nie wprowadziła jej to z równowagi. Ojciec przedstawił ją w potoku pochlebnych słówek na temat medycznej wiedzy nowego członka ich szpitalnej społeczności. Tamten mitygował się, ale nie było nic ze sztuczności w jego zachowaniu. Popielniczki były pełne niedopałków, więc zajęła się ich opróżnianiem, co uwolniło ją na chwilę od ich spojrzeń. Zaparzyła kawę i podała ją do stolika. Była to już ostatnia partyjka i ostatnia butelka „Martini”.

– Moja córka parzy najlepszą na świecie kawę – stwierdził ojciec, obejmując ją i przyciągając do siebie. Wzbudziło to w niej pewien niepokój, więc udała się do kuchni pod jakimś pretekstem. Kiedy wróciła, mężczyźni zajęci byli rozmową o psychopatologii:

– Psychopatologia określa mianem aleprekcyj natrętne wykonywanie czynności innych niż ta, którą chory sam chce wykonać. Dlatego sprzeciwianie się, opozycja lekarza jest...

– Tak, ale jest tu mowa o chorej osobie, a przecież kobieta w ciąży nie może być zakwalifikowana jako...

(Dokończenie na stronie 24)

Kim jest Trickster?

Trickster to tytuł wydanego w 2013 roku tomiku poetyckiego **Joanny Krupińskiej-Trzebiatowskiej**. Po jego lekturze nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jest to trzecia, najbardziej dojrzała część trylogii, której pierwsze tomy stanowią zbiory wierszy *W jedną stronę bez prawa powrotu* (2007) i *Taniec śmierci* (2010).

W całej Trylogii podróżujemy wraz z poetką po różnych światach podległych różnym bogom i szukamy sensu, nadziei i śladów Najwyższego, który może – jeśli istnieje i jeśli zechce podarować nam zagubiony sens i porządek wszechświata, podarować nam nas samych, co oznacza uwolnienie, zbawienie, dar prawdziwego życia.

W pierwszym tomie zwróciłam uwagę na wiersz mówiący o Bogu – *Gorzej jeśli zamierza popełnić / razem z całym światem / samobójstwo*. (s. 84),

W tomie drugim odnalazłam Boga za którym – *Wlecz się cień / Alter Ego pełźnie [...] / Podnosi się by mu dorównać. Rośnie*. (s. 20).

Nie bez powodu ostatni tom nosi tytuł *Trickster*. Polskie tłumaczenie tytułowego słowa nie oddaje całej wagi i mocy tej nadistoty, tego boga lub półboga (może Demiurga?), który gra czasem rolę żartownisia i przechery, i pod taką maską działa sprzeciwiając się woli Najwyższego – przeciwstawia się normom, działa wbrew ustalonym porządkowi; przy czym nie jest do końca pewne czy to działanie polega na tym, że Trickster stworzył świat wbrew woli głównego bóstwa, czy tylko niezgodnie z jego poleceniami, a może tylko w jakiś sposób przeszkodził by dzieło stworzenia było doskonałe.

Razem z poetką krążymy po wszystkich światach minionych i teraźniejszych i odnajdujemy skutki działania Trickstera, który ukrywa się pod nazwami przeróżnych bóstw starożytnych i współczesnych.

Jestem okrucieństwem gwiazdy [...] owocem myśli Najwyższego [...] dziełem Jego cienia Demiurga / albo alter ego [...] czynisz więcej niż materią z której zbudowane jest moje ciało” (s. 5).

Nie znajdziesz śladów Stwórcy choćby je zostawił [...] szum rozpostartych do lotu skrzydeł aniołów przywraca ci siłę. (s. 6).

Światło gdzieś na końcu wyboistej drogi wiodącej do nikąd [...] *niczym zwodnicza iluzja Sophii* (s. 7).

Autorka konsekwentnie szuka światła Sophii, wierząc wbrew pozorom stwarzanym przez Trickstera, że światło mądrości nie jest tylko zwodniczą iluzją.

Hermes Trismegistos wyrwał na szmaragdowej tablicy prawdę o zwierciadlanym odbiciu Ziemi i Nieba, świat bogów i ludzi jest tożsamy. (s. 33).

Doszliliśmy tu do postaci Hermesa Tri-

smegistos, czyli *Hermesa Po Trzykroć Wielkiego*, synkretycznego bóstwa hellenistycznego powstałego z połączenia cech greckiego boga Hermesa i egipskiego Thota, inspirowanego mistycznymi prądami judaizmu i identyfikowanego również z biblijnym patriarchą Henochem.

Hermes Trismegistos reprezentuje triadę religii, nauki i sztuki, które tworzą pełnię, stanowiąc symbol *tajemnej wiedzy* starożytności. Przypisuje mu się autorstwo ponad trzydziestu tysięcy ksiąg, zawierających całą wiedzę starożytnego świata. Najbardziej znanym jego dziełem miała być Tablica szmaragdowa, która zaczyna się słowami: „Prawdziwe, bez fałszu, pewne i najprawdziwsze. To, co jest na dole, jest jak to, co na górze. Co jest na górze, jest jak to, co na dole [...] wszystkie rzeczy istnieją z Jednego Medytującego [...]”.

Poetka wędruje drogą wiodącą pośród wielu niewiadomych, podobnie jak bezimienny młodzieniec z poematu Parmenidesa, poszukujący krągłej prawdy i wiedziony do niej przez Boginię.

Wielka liczba niewiadomych [...] pomiędzy przeszłością, a teraźniejszością / niezatarte autografy bogów / zaginione królestwa/ [...] przeszłość [...] toczy spór wieczny o prymat prawdy. (s. 38).

Możemy nadal ulegać złudzeniu istnienia / choć de facto w świecie tym niczego nie ma / prócz pikseli. (s. 108).

Ten ostatni cytat jest jednym z wielu przykładów przykładem tego jak celnie i trafnie łączy poetka wiedzę starożytną z najnowszymi zdobyczami nauki dwudziestego pierwszego wieku.

Tomik poetycki *Trickster* stanowi kopalnię wiedzy dla miłośników świata starożytnego, pasjonujących się ciekawymi informacjami dotyczącymi wielkich religii, a także mitologii greckiej, rzymskiej, perskiej, egipskiej, czy sumeryjskiej. Zawiera utwory będące wspaniałą lekturą dla wymagających i wrażliwych na piękno poezji, a także poszukujących wiedzy, dla tych, którzy w kalejdoskopie kultur i religii współczesnego świata pragną znaleźć nadrzędną myśl przewodnią, nadająca sens całości.

W tym miejscu pragnę przypomnieć słowa Justyna Męczennika, który w *Dialogu z Żydem Tryfonem* (tłum. ks. Misiarczyk L., Wydawnictwo UKSW, Warszawa 2012) pisał, że filozofia pogańska zawiera cenne ziarna prawdy, które powinno się z niej wydobyć; zaś nauka Platona nie jest całkowicie różna od nauki Chrystusa. W podobnym duchu były późniejsze wypowiedzi Boecjusza (*Księga o „Hebdomadach”* [w:] Traktaty teologiczne, tłum. Kijewska A. i Bielak R., Wydawnictwo Marek Derewicki, Kęty 2007).

Joanna Krupińska-Trzebiatowska nie daje nam wyraźnej odpowiedzi na pytanie o wynik jej poszukiwań. Jednak w jej wierszach odnajdujemy płomienie nadziei i ślady wskazujące na to, że mógł zostawić je Najwyższy.

Po co? Chyba właśnie po to abyśmy zachowali i pielęgnowali nadzieję.

Nadzieja, że Bóg / zasłuchany w dźwięki lutni Orfeusza / odmieni los człowieka [...] („Taniec śmierci”, s. 10).

Wierzę, że Bóg / – jeśli w ogóle istnieje / jest miłością. (s. 92).

Wiersze z tomiku *Trickster* nie pozwalają nam na zachowanie obojętności, zmuszają do myślenia i prowadzenia dociekań – literackich, historycznych, światopoglądowych, filozoficznych.

Zachęcam do lektury.

Jurata Bogna Serafińska



Joanna Krupińska-Trzebiatowska, *Trickster*, Wydawnictwo i Drukarnia Kurii Prowincjonalnej zakonu Pijarów, Kraków 2013., s. 116.

Gorzka czekolada przeszłości

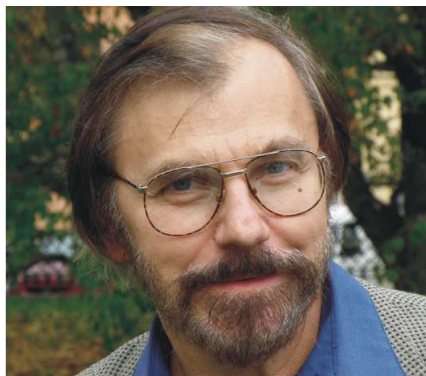
Krakowski pisarz i erudyta, **Paweł Daniel Zalewski**, opublikował swoją drugą książkę (pierwszą była „Ściana”) pt.: „Bez pamięci”. Dołączył nią tym samym do takich autorów jak Andrzej Stasiuk i Ryszard Kapauściński. Twórcy ci nie lubili medytacji w wygodnym fotelu i azylu przybiurkowego. Byli (Stasiuk jeszcze jest) odkrywcami, podróżnikami.

Piotr (alter ego autora) szuka śladów życia swego dziadka, Władysława, sławnego i bogatego cukiernika lwowskiego, który swoje wyroby cukiernicze, samolotem dostarczał do Warszawy. Aresztowany przez NKWD, został wywieziony w głąb sowieckiego raju. Ślad po nim zaginął.

Andrzej niczym detektyw podąża tropami dziadka. Chce odkryć rodzinną tajemnicę.

(Dokończenie na stronie 20)

Listy do Pani A. (78)



Wesele (fi)gara

Miła Pani!

Choć upłynęło sporo czasu, to jednak początek tego roku zapadł mi szczególnie w pamięć. Tak już jest, że wydarzenia końca poprzedniego i początku obecnego są jakby kontynuacją i zapowiedzią tego, co nastąpi. Nie wróżbą, bo Pani i ja nie wierzymy we wróżby, ale jest jakimś odbiciem tego, co będzie. A może ciągłości, bo przecież ani ludzie, ani sytuacje tak bardzo się nie zmieniają z racji tego, że z dnia na dzień wieszamy nowe kalendarze.

A Nowy Rok witamy idiotyczną strzelaniną, fajerwerkami, a czasem – w związku z tym – utratą części lub całych kończyn. Trudno. Co kto lubi. A poza tym nie wszystkim wszystkie kończyny są potrzebne...

Poszliśmy na sylwestra do Starejbas, a u nas w mieszkaniu została Joasia, dwie jej koleżanki i Krzys. Nic się nie spaliło, nic nikomu niczego nie urwało, a nowy rok i tak przyszedł. Wróciliśmy nad ranem, położyłem się na kanapie. Przyszła Iskra, i kiedy już prawie spałem, włądziła się do mnie i prawie zepchnęła mnie na podłogę. I tak kontynuowałem drugą połowę pierwszego dnia tego roku. Potem jeszcze koncert z Wiednia – słucham go zawsze. I już zaczęła się codzienność.

Zawsze nas ciekawi, co będzie dalej. Wróżymy sobie z różnych rzeczy, a ja tym razem starałem się coś wydedukować ze spotkania wigilijnego w ZLP. Właściwie wszystko bez zmian. Może z tą różnicą, że z roku na rok skromniej. W ubiegłym, czyli 2014 roku, tylko program artystyczny był bogatszy. Andrzej Ferenc mówił wiersze bożonarodzeniowe, a Janusz Szprot, świetny, znany jazzman, grał koledzy w nowych, bardzo oryginalnych aranżacjach. Wiersze, oczywiście były autorstwa klasyków, bo współczesnych autorów chyba nikt by się nie odważył prezentować. To byłoby tak, jakby ktoś wszedł z papierosem do pomieszczenia wypełnionego gazem. Zaraz nastąpiłaby wielka eksplozja pretensji, roszczeń, dąsów, podejrzeń, dlatego nie ja, a on... A celuje w tym krzyworyjny, roszczeniowy plankton, który pojawia się zwłaszcza wtedy, gdy jest nadzieja na wyzerkę.

Wigilia literacka jest zawsze przed właściwą, kalendarzowo-domową, wprowadza w nastrój świąteczny. I rzeczywiście – są uściski, życzenia, rozlewająca się serdeczność, tylko w kaprawych

oczkach pełno jadu i nieśmiertelnej złości. Może tylko właśnie w kręgach rodzinnych jest nieco inaczej, a przynajmniej powinno być.

W drugi dzień Świąt pojechałem do syna pod Warszawę, przyjechała też moja córka z mężem i dziećmi. Zawsze wymieniamy się wiktalami własnej produkcji. Przywiozłem im kawałek pasztetu, który zrobiłem sam, a córka też dała mi swój pasztet i inne jeszcze mięsne wyroby. Schowałem to do bagażnika. Kiedy wróciliśmy do Warszawy było już ciemno. Wypakowałem „towar” i poszedłem do domu. Rano jakby zabrakło mi jednego zawiniątka. Głowiłem się, gdzie może być, i żadną miarą nie mogłem sobie uświadomić, czy rzeczywiście coś jeszcze było. Wreszcie po południu zadzwoniłem do córki. Okazało się, że jednak był pakuneczek. Poczekałem jeszcze trochę, zszedłem do samochodu. Kiedy otworzyłem drzwiczki, od razu się roztoczył smakowity zapach przeczonego boczk. Zacząłem szukać – i znalazłem pomiędzy szpargalami w bagażniku. Był wtedy mróz. Pomyślałem sobie, że ten zapach byłby całkiem inny, gdybym tak otworzył samochód w okolicach Wielkanocy, albo pierwszego maja... Cóż, pewnie skleroza...

Wróciłem do mieszkania, i aby poprawić sobie nastrój zacząłem gotować rosół w wielkim, trzynastolitrowym garze, który dostałem od Starejbas. W ten sposób gar stracił dziewictwo, a zatem na kuchence odbyło się wesele (fi)gara.

Ale tak w ogóle styczeń był smutnym miesiącem. Zmarł Barańczak, Krauze, Konwicki – już nie mam chęci szukać w pamięci, kto jeszcze. W latach sześćdziesiątych widywałem Tadeusza Konwickiego w „Czytelniku”. Siadywał tam z Gustawem Holoubkiem, z Andrzejem Łapickim i innymi. Spotykałem tam Adama Ważyka, ale nie pamiętam czy przy tym samym stoliku. Przykre, że tak się wykruszają przedstawiciele dawnego świata.

Kawiarnie zawsze mają niebagatelny udział w życiu literackim i kulturalnym. Byłem niedawno w „Jasiu i Małgosi” na promocji nowego tomu wierszy Ireny Tetlak „Wnętrza”, to drugi tomik tej utalentowanej poetki. Inny niż poprzedni „Lilak”, bardziej zdystansowany, refleksyjny, dojrzały. Wiersze liryczne, delikatne, jednak mówią o niełatwej egzystencji, niejednokrotnie o cierpieniu, o rozmiękaniu się z marzeniami, o ulotności chwili, którą to chwilą może być całe nasze życie... Spotkanie z poetką prowadziła inna poetka, Bożena Kaczorowska. Robiła to doskonale, błyskotliwie, prowokowała autorkę do wypowiedzi i do czytania tych wierszy, które były najdoskonalszą poetycką egzemplifikacją zwierzeń autorki. Na spotkaniu był Andrzej Dębowski, wydawca oraz autor Posłowa. W spotkaniu uczestniczyło dużo osób. Przybyli poeci i czytelnicy. Miałem wrażenie, że Pani też siedziała przy stoliku zupełnie blisko mnie. Ale kiedy spojrziałem tam po raz drugi, już nie było nikogo.

Na tym wieczorze poznałem bliżej Jarosława Jabrzmęskiego, który niedawno wydał tom „Egzuwia Egzekwie”. To bardzo dobra poezja, oryginalna. Autor dopracował się własnego, indywidualnego języka, stał się rozpoznawalny. Należy to do niewątpliwego sukcesu twórczego poety. Poza tym bardzo miły człowiek, bezpośredni i bezpretensjonalny. Następnego dnia spotkałem się w „Literacie”, i wtedy mogliśmy dłużej porozmawiać. Wspomniałem wcześniej o

śmierci Stanisława Barańczaka. Dziwne są wyroki losu. Ubywa ludzi utalentowanych, natomiast kretyni trzymają się dobrze. Ta śmierć to rzeczywiście wielka strata dla literatury. Świetny poeta, znakomity tłumacz. Pisarz o niezwykłym wyczuciu słowa, patrzący na świat z dystansem i humorem. Nie znałem go osobiście, więc nie będę się wkręcał w tłumek jego „przyjaciół”. Ale zrobiło mi się bardzo przykro, że prawdziwe, wyraziste osobowości odchodzą, a zostaje mało znaczący plankton. Ale nie narzekajmy. Plankton też jest potrzebny. Gdyby nie on, to rekiny wyzdychałyby z głodu. Choć dzisiaj i rekiny nie mają się najlepiej.

Kretyni, jak zwykle zadowoleni z siebie polemizują z papieżem, który stwierdził, że katolicy to nie króliki i nie muszą się mnożyć na osłep. Ale przecież papież ani nie zabrania się mnożyć, ani z drugiej strony nie każe pracować tak, aby nie było efektów. Obsesja niektórych na tym tle wskazuje na chorobę psychiczną. Tacy „publicyści” sprowadzają katolicyzm do związku skretyniałych półgłówków, co tylko ludzi myślących od Kościoła odstręcza. Przestrzeń metafizyczna jest wielka, natomiast tak dosłownie pojmowany katolicyzm, jak zresztą każde wyznanie i religia, to stek bredni i bajd spod ciemnej gwiazdy. Nie rozumiem, jak człowiek poszukujący, myślący może trzymać się uparczywie jakiejś ortodoksji. Tej mentalności nawet Franciszek nie będzie w stanie zmienić, ale chwala mu za to, że – wprawdzie w pewnych granicach – stara się stworzyć jakiś wyłom. Może niepotrzebnie poświęcam temu aż cały akapit, bo przecież wielu jest u nas gadających głupstwa facecików bez znaczenia.

Otarzające nas idiotyzmy, burze w szklance wody, podejrzania, plotki – to wszystko napawa obrzydzeniem. Jeśli o kimś się napisze, drudzy się obrażają. Jeśli odmawia się recenzji komunikulek, obrażają się wszyscy. Przystałem więc działać na tym polu, chcę mieć święty spokój, pisać swoje rzeczy i nie dbać o to, czy w tzw. „rewanżu” ktoś o mnie napisze, czy też nie. Jeśli to robi, będzie bardzo miło, a jak nie, to nie będzie niemiło. Jeszcze może coś wydam (poza kasą), jeszcze piszę do Pani te listy, które podobno są czytane, więc już właściwie niczego mi nie brak. Minimalizm? Może, ale spowodowany obiektywną sytuacją, której nie zmienię. I Pani również.

Zauważyłem na facebooku psychozabawę. Odpowiedz na kilka pytań, a zobaczysz jakiej rasy jesteś psem. Nawet chciałbym sam być psem, poza mroźnymi zimami, kiedy trzeba wychodzić na dwór w wiadomym celu. Rozwijałem teścik dla zabawy, i wie Pani co mi wyszło? „Jesteś niemieckim dogiem! Jesteś tak skromną osobą, że nawet nie zauważasz, jak bardzo wyróżniasz się z tłumu. Jesteś bardzo mądrą osobą, ale zawsze zachowujesz się otwarcie, serdecznie i przyjaźnie. Byłbyś / –abyś dobrym pediatrą, ale dobrze odnalazłbyś / –abyś się również w kręgach wyższych sfer”.

Bardzo trafny wyrok, bo na ratlerka jestem pomimo wszystko trochę za duży, a chamstwa też nienawidzę. Co do reszty – nie wypowiadam się. I może dlatego nie przystaję do dzisiejszej rzeczywistości. Chociaż... Czasami ugryźć potrafie. Pani jednak nic nie grozi. Serdecznie pozdrawiam!

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Po co komu kultura?

Na stronie internetowej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego czytamy m.in., że jednym z priorytetów resortu jest promocja czytelnictwa i wspieranie czasopism: „Celem priorytetu jest wspieranie najbardziej znaczących ogólnopolskich czasopism kulturalnych, zarówno tych o wieloletnim dorobku i ugruntowanej pozycji, jak i tych, które uzyskały status opiniotwórczych w ostatnich latach”. Jak to się ma do rzeczywistości? Nijak, bo jak się okazało, „Migotania” i portal „pisarze.pl” nie zostały w ogóle uwzględnione przy podziale pieniędzy na ten rok.

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Dziwne to, bo przecież oba podmioty literackie, to nie jakieś efemerydy, jakieś raczkujące pisemka, które dopiero co zaistniały na literackiej mapie Polski.

Gdański kwartalnik „Migotania”, zdaniem wielu profesjonalnych uczestników kultury, to jedno z najciekawszych pism literackich w Polsce. Istnieje od 13 lat, co w latach nieustannych przemian już zasługuje na podziw, bo potwierdza konsekwencję i determinację twórców kwartalnika. Łączy wysoki poziom artystyczny z różnorodnością tematyczną i gatunkową. Jest tu miejsce na reportaże, na filozoficzne eseje, na wiersze debiutantów i klasyków. „Migotania” to około 900 autorów, którzy honorowo przez te wszystkie lata publikowali w piśmie.

Portal „pisarze.pl” jest jedną z najstarszych i najbardziej dynamicznych tego typu przedsięwzięć, łącząc funkcję internetowego pisma literackiego i informatora współczesnego życia literackiego w Polsce. Portal

umieszcza twórczość zarówno renomowanych autorów, jak tych, stawiających pierwsze kroki z literaturze. Publikuje nowe, nigdzie dotąd niespotykane eseje, szkice krytycznoliterackie, felietony, wywiady. Informuje o wszelkich wydarzeniach życia kulturalnego i artystycznego.

Okazało się jednak, że dla urzędników MKiDZN to za mało, że znacznie lepiej dać pieniądze na jakieś działania mało związane z kulturą. Można by powiedzieć: „niech opaczność czuwa!”. Stąd też coraz częściej w środowiska kulturalnych pojawiają się głosy, że może lepiej będzie, kiedy kolejny minister sam będzie organizował sobie imprezy kulturalne przy pomocy swoich wszechwiedzących urzędników. Jednak tak się składa, że jednak ci urzędnicy nie mają zielonego pojęcia, co tak naprawdę dzieje się w terenie, jakie kulturotwórcze przedsięwzięcia są potrzebne, a które już nie.

A jest tych imprez naprawdę dużo, sam w wielu uczestniczyłem i mogłem naocznie zobaczyć jak wiele trudu muszą włożyć organizatorzy, żeby one w ogóle mogły się odbyć. Wiadomym jest, że na zorganizowanie kilkudniowego festiwalu literackiego dla kilkudziesięciu osób naprawdę potrzeba dużo pieniędzy. Wiem, że tylko dzięki osobistemu zaangażowaniu tych lokalnych działaczy mogą odbywać się tak znaczące imprezy, jak: Warszawska Jesień Poezji, Międzynarodowy Listopad Poetycki w Poznaniu, Międzynarodowy Festiwal Poezji – Poeci bez granic w Polanicy Zdroju, Ogrody Poetyckie w Limanowej czy wskrzeszona dwa lata temu przez Marię, żonę niezjącego poety Tadeusza Kwiatkowskiego-Cugowa – Wigilia Poetów i Ułanów. A przecież oprócz tych wymienionych są jeszcze dziesiątki innych festiwali i imprez literackich, setki konkursów mniej bądź bardziej znanych. Wszyscy ci organizatorzy przechodzą corocznie przez przysłowiowy czyściec organizacyjny, żeby zdobyć fundusze na swoją imprezę. Więc chodzą po ministerstwach, wydziałach kultury w województwach, urzędach miast i gmin, i proszą prywatnych sponsorów, donatorów... Piszą...

Kiedy rozmawiałem z Pawłem Kuschczyńskim (Międzynarodowy Listopad Poetycki w Poznaniu), czy Andrzejem Bartyńskim i Kazimierzem Burnatem (Międzynarodowy Festiwal Poezji – Poeci bez granic w Polanicy Zdroju) przyznali, że jest coraz gorzej. Nasze władze nie są zainteresowane dotowaniem tego typu imprez. Jak twierdzą, „komu jest to potrzebne”, albo że „przecież są inne, ważniejsze wydatki”. Przeraża ten typ myślenia decydentów, bo przecież nic bardziej strasznego nie może nas spotkać niż znieczulica, krótkowzroczność, by nie powiedzieć, że zwykła głupota. Jak prawidłowo mają rozwijać się kolejne pokolenia Polaków... Nie ma i nie będzie prawidłowego rozwoju społecznego, gospodarczego, bez rozwoju nauki czy kultury. Te stare jak świat prawidła znają wszyscy na świecie – nie znają ich tylko decy-

denci polscy. Imprezy literackie wymienione przeze mnie wyżej, to przedsięwzięcia kulturalne aktywujące nie tylko samych uczestników, ale przede wszystkim społeczności lokalne; angażują ludzi poszukujących nowych wartości, jakże innych od tych, które codziennie spływają z ekranów telewizorów. Festiwale literackie w Poznaniu, Polanicy Zdroju, Warszawie czy Limanowej pokazują przede wszystkim, jak wielka jest potrzeba obcowania ze współczesną literaturą piękną, niekoniecznie tą prezentowaną i finansowaną przez wielkie koncerty medialne, prasowe, stacje telewizyjne, wielkie, komercyjne wydawnictwa. Tam rzadko liczy się jakość, tam obowiązuje zasada, że „produkt” ma się dobrze sprzedać, nieważne, dobry, czy zły. Dlatego tak wiele jest na rynku wydawniczym książek złych, niedobrych, często takich, które tak naprawdę nigdy nie powinny się ukazać. Ale są one świetnie opakowane w piękne, kolorowe okładki, dobrze zareklamowane, natomiast w środku nie ma nic, żadnej wartości, ani przesłania. Gdyby Paweł Kuschczyński, Andrzej Bartyński, Marek J. Stępień czy inni organizowali festiwale, na których można byłoby zarobić, pewnie dostaliby niezłe pieniądze na tzw. „rozruch”. A jak jest już rynek, to i telewizja się pojawi, i decydenci chętnie przyjdą się pokazać w telewizji, jacy to oni wspaniali, jak bardzo dbają o tę naszą biedną kulturę. A tak pozostaje ciągle użeranie się, wydeptywanie kolejnych ścieżek do urzędniczych gabinetów, w których – czasem, oprócz służbowej herbatki i zapewnieniu, że „jesteśmy z wami”, tak naprawdę nic nie wynika. A kiedy wychodzimy z ich gabinetów, czasem słychać przez niedomknięte jeszcze drzwi oddech urzędniczej ulgi, że oto nareszcie pozbyli się „kłopotu”. Smutne to, ale jakże prawdziwe i – niestety – coraz częstsze...

Nie wiem, na ile jeszcze starczy sił, tym współczesnym „literackim judymom”, aby dalej ciągnęły swoje wozy z napisem „literackie festiwale”, ale wiem, że gdyby nie oni, nie było przekazywania młodzieży wiedzy o tej najbardziej współczesnej literaturze polskiej. To tylko dzięki wielkiej społecznej pasji, trwa wymiana myśli, poglądów, podczas sesji naukowych czy spotkań autorskich...

Wszystkie te przedstawione przeze mnie przykłady świadczą dobitnie o tym, że jeżeli już odbywają się te imprezy, ukazują pisma, funkcjonują portale kulturalne i artystyczne, może się to dziać tylko dzięki ludziom dobrej woli. Przecież pomimo ministerialnych środków polanicki festiwal trwa, bo władze miasta dostrzegają w tej cennej inicjatywie coś wartościowego. To samo dotyczy Limanowej.

Czy naprawdę jednak o to chodzi? Czy państwu już naprawdę nie zależy, żeby pokazać choć odrobinę dobrej woli ludziom, którzy społeczną i zawodową pasję przelewają na innych, żeby próbować jeszcze coś zrobić, w tym mocno sfatygowanym kraju?

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (53)

(fragmenty)



Znikające talerze – jak to w życiu

Z nocy z 15 na 16 lutego, gdy spałem w Krakowie – równocześnie biegałem po górach i górkach, przypominających mi to Bergdietikon koło Zurychu, gdzie bywałem wielokrotnie u córki, ni to Grzechynię koło Makowa Podhalańskiego, gdzie pracowałem jako belfer zaraz po studiach. Okolice malownicza, porostawiane stoły weselne albo restauracyjne na wolnym powietrzu, coś w rodzaju Kany Galilejskiej, bo można nabierać sobie, co kto chce, na talerze i nalewać do kieliszków, co też czynię, cały czas mając wrażenie, że jestem spóźnionym biesiadnikiem, bo wszyscy są już po obiedzie, a teraz delektują się rozmowami i deserami... Na domiar złego – gdy tylko napelniam swój talerz smakołykami, których nie brakuje na stołach i spuszcza na chwilę talerz z oka – talerz znika, więc muszę znowu iść po nowy i nabierać jedzenie, po czym wystarcza się odwrócić, żeby zniknął. Ta dziwna sytuacja powtarza się jeszcze parę razy, wreszcie wkurzony, że nie mogę się najeść do syta, postanawiam poszukać innych rewirów stonkowych. Niestety, szukając wolnego miejsca, gubię drogę do mojej Kany i błąkam się po tych dziwnych ścieżkach górskich, mając wrażenie, że przecież to gdzieś niedaleko... za krzaczkiem, za wzgórzkiem...

Obudziłem się z wrażeniem nienasyconego głodu.

Widocznie nie jestem tak zimnym i nieczułym skorupakiem, za jakiego się niekiedy uważam (szczególnie, gdy natykam się na fałszywą egzaltację czy czułość), skoro niewiem momenty, gdy z trudem powstrzymuję łzy pod powieką, a wzruszenie ściska mi gardło. A tak działo się przez godzinę, gdy słuchałem wierszy i fragmentów listów Emily Dickinson zawartych w monodramie krakowskiej aktorki Bożeny Adamek w Dworku Biało-

prądnickim.

Czy wzruszało mnie kruche, ulotne piękno tych wierszy mówionych przez równie kruchą i ulotną Bożenę, czy dziwny los tej amerykańskiej poetki, która raczej marzyła wierszami o życiu i miłości, niż żyła i kochała? Pewnie jedno i drugie. Żyła tylko w marzeniu, jakby nie mając odwagi na prawdziwe życie albo obawiając się, że każde spełnienie jej marzenia może je skalać. Może obawiała się dotknąć palcem swoich wymagowanych gwiazd, żeby nie zamieniły się w kamienie? Stać ją było tylko na słowa, a już nie na czyn, podobnie zresztą jak Europejczyka Franza Kafkę. Budowała z nich swoje zameczki na lodzie, siedząc całe życie pod słońcem i gwiazdami na ławeczce „Marzenie” – na skrzyżowaniu amerykańskiego miasteczka Amherst i Nieskończoności Kosmosu. Choć dawno już nie żyje, pozostawiła słowa, które w błysku metafory potrafią przenieść czytelnika do jej wciąż istniejącej, choć już tylko w słowach, rozświetlonej marzeniem duszy. Potrafią one w mgnieniu poetyckich obrazów-skojarzeń wskrzesić i przybliżyć tamto skryte wnętrze Emily w całej jego intensywności i feerii uczuć. Ma się dziwne poczucie obcowania z kimś niesłychanie bliskim, kto odsłania nam swój świat wewnętrzny. I choć ten świat już dawno nie istnieje, ale wciąż stwarza się na nowo w odbiorze czytelniczym na podobieństwo promieni odległej planety, które docierają do nas po wiekach, gdy planety tej już może nie ma.

Dwa marzenia, które się spełniły

Styczeń i luty mojej młodości zasypane były śniegiem, ginęły w mroźnej zadymce, nie to co teraz, gdy zdeorientowane krzewy wypuszczają w styczniu pąki, a spod ziemi wyskakują zdziwione żdźbła traw. Czterdzieści pięć lat temu w lutym brnąłem prawie na oślep, najczęstszą zaspany i zasapany, przez te poranne zadymki o 5 rano do pracy w kopalni – w zielonym górniczym płaszczu i w wyfasowanych buciorach, myśląc o jednym: ki diabeł mnie tu zesłał i dlaczego muszę wstawać tak wcześniej?! W głowie miałem tylko jedno marzenie: żeby uwolnić się od kopalni oraz zakopconych miast śląskich, i zdobyć kiedyś taki zawód, żeby nie był przymuszony do rannej wstawania.

Moje marzenie w stu procentach się spełniło. Po górnictwie, studiach i pracy w szkole przyszedł czas na tzw. – o ironio losu, bo był to przecież PRL – wolny zawód” czyli dziennikarstwo. Zajmowałem się wiele lat w tygodniku „Wieści” publicystyką kulturalną oraz pisaniem reportaży i mogłem się do woli – tak jak sobie to w młodości zamarzyłem – wysypiać, choć niekiedy trzeba było zarywać noce.

„Wolny zawód” sprzykrzył mi się jednak na starsze lata. W kolejnych redakcjach nie zajmowałem uprzywilejowanych stanowisk, lecz po dawnemu uganiałem się po terenie za tematami na reportaże bądź pisałem duże wysmakowane literacko teksty, za które placo-

no mi tyle, co kot napłakał. Wymyślanie coraz to nowych tematów – spędzało sen z powiek, zaś wrodzony perfekcjonizm, niepozwalający na pisanie szybkich, rewolwerowych i jedno-dniowych artykułów – doprowadzał do tego, że byłem mało wydajny. Tymczasem liczyła się już sensacyjność i ilość, a nie jakość i literackość tekstu. „Ty, kurwa, tylko piszesz o tym, co ciebie interesuje, a nie o tym, co nas jako redakcję interesuje!” – grzmiał na operatywkach redaktor naczelny „Gazety Krakowskiej”.

Tak, to prawda, starałem się, jak mogłem, zawsze, bez względu na to, czy był komunizm, czy kapitalizm, czy pracowałem w tygodnikach czy w dziennikach, pisać tylko o tym, co mnie interesowało, a co wydawało mi się ponadczasowe i uniwersalne. To się do pewnego czasu mogło podobać, ale od pewnego czasu – nie. Marzyłem więc, żeby wreszcie uwolnić się od tego coraz bardziej wyrobniczego zawodu i poświęcić czas na to, co przystoi poecie, czyli na bujanie w obłokach.

To drugie marzenie też się spełniło i choć zapłaciłem za nie słoną cenę: nowotworem złośliwym oraz półroczną chemioterapią – niczego nie żałuję, tym bardziej że należę do tej grupki szczęśliwców, którzy raka pokonali. Zyskałem sześć lat wolnego i ekscytującego, bo niepewnego – ze względu na walkę z chorobą – czasu. Mam w dupie wszystkie szefów świata. Jestem sam sobie sterem, okrętem, żeglarzem. Mogę siedzieć przy komputerze pięć godzin, by wyrzeźbić... pięć linijek wiersza. Stać mnie na to!

Urzędnik życia i śmierć

Kiedy umiera artysta, zawsze wychylony przez okno ku sprawom ostatecznym, zawsze mający przeświadczenie, że jest na tej Ziemi tylko przechodniem – to jakoś mogę to sobie wytłumaczyć. Ot, dmuchnął wiatr metafizyki i nie ma liryka.

Ale gdy umiera człowiek żyjący realnością, pragmatyk do szpiku kości, pięćdziesięciolatek stojący obiema nogami na ziemi i wchłaniający zawsze, jak gąbka, porami duszy doraźną polityczną rzeczywistość, najwnikliwszy jej interpretator i to z dnia na dzień, bo dodajmy, że chodzi o wieloletniego redaktora naczelnego dziennika, z którym przyszło mi kawałek czasu pracować – to taka śmierć jakoś nie może się zmieścić w głowie.

Służbista, w nienagannie skrojonym garniturze, w krawaciku, wierzący w porządek, dyscyplinę; wypastowane buty, poprawność gramatyczną, logikę działania, pracowitość, perfekcjonizm, uosobienie pedanterii i szwajcarskiego zegarka. I nagle ni stąd, ni zowąd przychodzi anarchistka choroba (rak) i demoluje, rujnuje ten idealny organiczny mechanizm, rozbiera zegarek, który jeszcze jakiś czas udaje, że sprawa go nie dotyczy, próbuje ją zbagatelizować, pracuje dalej jakby nigdy nic na ważnym stanowisku życia.

cdn.

Poetyckie fotografowanie świata

Wielu współczesnych poetów para się również fotografią, która pozwala zatrzymać od zapomnienia szereg epizodów, które na gorąco trudno ująć w słowa. Stwarza to możliwość pogłębionego przestudiowania tej chwili ukazującej się wrażliwemu człowiekowi na przysłowiowe „oka mgnięcie”. Takim twórcą jest niewątpliwie **Leszek Lisiecki**, który opublikował tomik wierszy uzupełniony autorskimi fotografiami pod znamienym tytułem – „Nikt nie budzi drzwi”.

Zbiorek ten otwiera wiersz poświęcony pamięci matki pt. „Jeszcze wczoraj”, a na rewersie kartki zamieścił jej fotografię, na której siedzi na cmentarzu nad grobem bliskich. Jak już zasygnalizowaliśmy, autor głównie zajmuje się fotografią i w tej perspektywie również pisze wiersze będące poniekąd tworzone analogiczną techniką pisarską, która uchwytuje ważne epizody świata, mające istotne znaczenie dla życia poety, które próbuje dopełnić własnym komentarzem poetyckim. W tym pierwszym wierszu czytamy, iż: „mówiła / trzeba pomóż / nie martwij się // uśmiechała się / zażenowana / ze już tak niewiele może // usłyszałem szept / jestem taka zmęczona // a potem / cichutko // odezła”.

Kolejne wiersze lirycznie nastrojone stanowią wspomnienie odchodzenia matki ze świata doczesnego, i opowiadają m.in. o cmentarzu, palących się zniczach, domu już bez tabliczki z jej nazwiskiem, w którym mieszkała, ale i wiersze dopełniające fotografie starych domów, ludzi w różnych, osobliwych sytuacjach bytowych. Takie domy wypełnione ciszą i pustką ciągle przyciągają uwagę wrażliwego twórcy, choć trudno fotografią i wierszem wyrazić ich umierającego z czasem ducha. Autor dokonuje więc kolejnych studiów fotografowanych domów, by usłyszeć ów „upływ czasu”. Słyszy jednak tylko ciszę i zdaje sobie sprawę, że w niej „trudno znaleźć / miłość // nawet do siebie”.

Obserwując ludzi w podeszłym wieku, zatapiając się w ciszy, słucha upływu czasu w ich stąpaniu po chodniku, które staje się coraz bardziej nierytmiczne. W mieście ukazuje mu się „mrówcza logika” tego siedliska ludzi, a osamotnienie w nim staje się normą, napinającą tempo „wyścigu szczurów”. Poeta w słuchuje się w szczeliny miasta dokonując rachunku sumienia za spędzony dzień i nagle słyszy, że „(...) koncert świerszczy rozprasza chmury / a rozbudzone gwiazdy / beztrudno gawędzą o aniołach // lepiej posłucham plotek z nieba” – konkluduje. Dalej przenosi się i śledzi rzeczywistość wirtualną, funkcjonowanie w niej emocji międzyludzkich, ale i recepcję poezji, często stając

na granicy jawy i snu, by obserwować jak powoli odchodzi w niebyt dobrze znana mu rzeczywistość podręczna. Podziwia na ekranie komputera fotografię, na której w Warszawie „bryczki – jeszcze jeżdżą”, choć ten sentyment go niepokoi, bo boi się „zostać przeżytkiem”, zafascynowanym tamtym światem, obecnie znanym głównie z fotografii.

Lisiecki dobrze czuje się na łonie natury, gdyż – jak pisze – „w lesie wszystko wygląda inaczej”. Tam można żyć zgodnie z instynktem np. nakryć aparatem fotograficznym „kokieterijną sójkę”. Wiele wierszy poety stanowi interesujący komentarz do jego fotografii, uchwytujących niesamowite epizody z życia codziennego, w zwierciadle których widać sprzeczności między światem natury i kultury. Niekiedy jednak te dwie jego pasje artystyczne wykluczają się wzajemnie, a czasem świetnie ze sobą dopełniają się, czego ma świadomość, pisząc, że „znów nie napiszę wiersza”, kiedy uda mu się tak dobrze uchwycić niepowtarzalny epizod świata w obiektywie. Trudno bowiem sfotografować zapach jabłka, sypkość pisaku, furkot skrzydeł ptaka, ale również uchwycić słowem znakomite formy, kolory i gry światłocieni. Ten świat artystyczny, który u Lisieckiego zdarza się pomiędzy światem obrazu i słowa, które ukazuje mu się czymś na kształt menu, z którego garściami czerpie inspiracje, jednocześnie antycypuje przyszły sens poezji w świecie zdominowanym komunikacją wizualną. Czas pokaże jednak, czy ścisły rozdział między obrazem a poezją w komunikacji tradycyjnej zostanie w przyszłości w komunikacji multimedialnej jakoś harmonijnie rozwinięty i czy próby poety-fotografa stworzyły ku temu jakieś optymistyczne precedensy, ale i konstruktywne przesłanki.

Na zakończenie chcemy zwrócić uwagę na fragment posłowania do tomiku Lisieckiego, w którym autor tak pointuje symbolikę i metaforykę poety: „A więc jest dom w tym wierszu czy nie ma żadnego, może są tylko drzwi do marzeń symbolicznie zawieszane w przestrzeni? Marzeń, które słodko drzemią, do których trzeba się wspiąć po schodach, i których w samotności nie ma się odwagi obudzić”. Jeśli więc we współczesnym komunikowaniu obraz dominuje nad słowem, choć nie jest w stanie wszystkiego wyrazić do końca, poezja – jak to ma miejsce w przypadku tomiku Lisieckiego – będzie miała szansę tak z nim kooperować, by zdecydowanie pogłębić własnym obrazowaniem ów obraz dominujący nad słowem, ukazując jego inne, a nawet metafizyczne wymiary

prof. Ignacy S. Fiut

Leszek Lisiecki, „Nikt nie budzi drzwi”, Wydawnictwo Signo, Kraków 2014, s. 48.

Naznaczony herbem norwidowym

Pod koniec roku 2013 została wydana dwujęzyczna monografia, w języku polskim i czeskim, o bohaterstwie i życiu prawnika rodzonego brata Cypriana Kamila Norwida. Książka autorstwa poetki i pisarki **Danuty Kobyleckiej** z Nysy, w opracowaniu graficznym Agnieszki Kobyleckiej, nosi tytuł: „Jerzy Kozarzewski – ślad niezatarty”. Autorka przedstawia etos poety i patrioty okresu II wojny i powojnia, jest pięknie i okazale wydana: twarda okładka (116 stron), zdjęcia pochodzące z archiwum rodziny poety tutaj pomysłowo zaprezentowane w sepii. Tekst przełożył na język czeski były wykładowca z Uniwersytetu w Olomoucu profesor František Vsetička znawca literatury polskiej, beletrysta i felietonista... Może kilka słów przypomnienia – kto to był Jerzy Kozarzewski? – wiemy, że był poetą polskim, a także działaczem opozycyjnym w czasie wojny i powojennej Polsce Ludowej, skazanym wraz z innymi zbiorowo przez sąd na śmierć.

Urodził się w 1913 roku w Trawnikach Lubelskich, dzieciństwo spędził w Piotrkowie Trybunalskim, studiował w Szkole Handlowej. We wrześniu 1939 dostał się do niewoli sowieckiej. Samotnie uciekł z transportu. Wstąpił do konspiracyjnego Związku Jaszczurczego, a następnie Narodowych Sił Zbrojnych. Działał głównie w rodzinnym Piotrkowie. W 1941 – ścigany przez Gestapo – został przeniesiony na teren województwa krakowskiego. W lipcu 1943 przeniósł się do Warszawy. W czasie Powstania Warszawskiego dostał się do niewoli i trafił do Oświęcimia, a następnie do Mauthausen. Po wojnie wrócił do Polski i wszedł ponownie do struktur konspiracyjnych NSZ. Aresztowany w październiku 1945 roku. Natomiast 6 sierpnia 1946 roku, po pokazowym procesie, otrzymał wyrok skazujący na podwójną karę śmierci. Dzięki interwencji Juliana Tuwima u Bolesława Bieruta, kara śmierci została zamieniona w drodze łaski, na 10 lat więzienia. Po odbyciu kary zamieszkał z rodziną w Nysie.

Wczytując się w tekst o tym niezwykłym człowieku widać, że monografia ta została dobrze chronologicznie opracowana, oparta nie tylko o materiały użyte przez rodzinę Jerzego Kozarzewskiego, ale jak pisze autorka, pozyskiwała dużo wiedzy z różnych przyjaznych źródeł, w tym od osób, które znały Kozarzewskiego oraz z archiwalnych druków czasopism... Poza tym autorka przeprowadziła, jak wiem, rozmowy z osobami, które znały rodzinę pana Jerzego lub współpracowały bardzo blisko z poetą za życia. Danuta Kobylecka pisze: „być może młody Czytelnik, do którego kieruję tę książkę, dopatrzy się w tych Dwojgu (mowa tu o żonie pana Jerzego)

(Dokończenie na stronie 18)

Naznaczony herbem norwidowym

(Dokończenie ze strony 17)

recepty na udane życie". O tym udanym pożyciu dwojga kochających się osób w trudnych warunkach, a nawet ekstremalnych jest wiele w tej książce. Są też prezentowane fotografie państwa Kozarzewskich z tamtego okresu. To wspaniała barwna i bohaterska postać... Jak okazuje się potomek Rodu Norwidów herbu „Topór” zapisał się również wspaniale w kartach dziejów targanych czwartym rozbiorem Polski – ta sama krew, której los nie poskąpił siły wiary i wytrwałości. Poeta Jerzy Kozarzewski to piękny rozdział pełen pasji konspiracyjnych w walce zarówno z okupantem hitlerowskim nie tylko w Powstaniu Warszawskim, ale i ze stalinowcami w wojennej i powojennej rzeczywistości. Aresztowany przez ubowców był pokazowo surowo sądzony wraz z innymi i skazany przez reżim bierutowski na podwójną śmierć, co miało swój osobny wydzźwięk odstraszący i propagandowy. Więziony i torturowany, zostawił głęboko odcisnięty ślad nie tylko w poezji, ale w całej treści własnego bytu rodzinnego. Gdyby nie Julian Tuwim, któremu był polecony przez żonę, która niestrudzenie szukała drogi do uwolnienia ukochanego męża, pewnie wyrok zostałby wykonany w swoim czasie. Książka mówi o wielkiej i oddanej miłości tych dwojga osób, jest też w tym wydaniu opisana zwykła codzienność dwojga prawdziwie oddanych sobie i wspierających się osób. Mimo tak trudnego i okrutnego życia, udało im się razem przetrwać i ocalić dzięki nadziei. W tej książce monograficznej znajdujemy także wiersze poety Jerzego Kozarzewskiego, jak się okazuje są one jakby zapisem, choć trochę chronologicznym, pewnych wątków patriotycznych i światopoglądu, mimo trudnego życia dokonanego z wyboru, a nawet obrazów i cech charakteru bardzo szerokiego spektrum przeżytej chwili oraz romantycznej miłości i wiary w prawdę. Wiersze pochodzą ze zbiorów prywatnych i tomików poety, głównie ze zbioru „Późne żniwo” wydanego w Warszawie w 2000 roku przez rodzinę poety. Trzeba pamiętać, zwłaszcza temu młodszemu pokoleniu, że był to bardzo surowy siermiężny i ciężki czas, czas walki okraszony krwią, ale i uczuciem miłości jedynej, zarazem czas ciągłego potykania się o formułę patriotyzmu, zgoła innego, niż dzisiaj. To był prawdziwy patriotyzm poparty odwagą, czynem i bólem... Dziś słowem „patriotyzm” szasta się na boki. Wtedy, w ten gorący czas zawieruchy, trzeba było dać świadectwo i poświęcić w imię wartości nadrzędnych swój prywatny byt. Jerzy Kozarzewski dał takie świadectwo pisane męką i płaczem serca, tym samym jego obecność jest trwała i zapisana tłustym drukiem w

historii i literaturze. Jest to poeta CZŁOWIEK NAZNACZONY piętnem walki o prawdziwie wolną Polskę. Nazywany „zaplutym karłem reakcji” przez stalinowców. Człowiek, który nie odpuścił, sprzeciwiał się okupantom, ale i obłudzie tamtego zbrodniczego systemu, pisał poezję klasyczną treściwą, która nasączona jest semantycznie żywym działaniem i niepokojem oraz miłością do ukochanej kobiety, która dawała mu siłę i wytrwałość, podtrzymywała na duchu. Pani Magdalena zabiegała gdzie tylko mogła o wsparcie dla ukochanego męża, wierzyła w Niego i w Jego słuszną sprawę, dostała się do Juliana Tuwima prosząc o wstawiennictwo. Wpierw potraktował ją surowo, ale kiedy nakreśliła szczegóły o swoim mężu, że wrócił z Oświęcimia, jest źle traktowany, a przede wszystkim od razu zasiadł na ławie oskarżonych wraz z innymi, którzy też wrócili z obozu, Tuwim nieco zmienił ton. Żona Jerzego Kozarzewskiego wówczas bardzo przeżywała fakt, kiedy to uznany poeta przyjął to wezwanie i wybierał się do Bieruta, prosił o wiersze pana Jerzego – przyniosła je niebawem. Tuwim chciał coś znaleźć w tej poezji coś co go wesprze w rozmowie z ówczesnym komunistycznym prezydentem oddanym radzieckiej władzy. A gdy wrócił z tej audycji i przyjął panią Magdalenę wraz z własną żoną u siebie na Wiejskiej nie posiadali się wszyscy z radości... Prawdopodobnie wcześniej duże wrażenie zrobił na Tuwimie fakt, że Jerzy Kozarzewski pochodził w prostej linii z rodziny Norwidów, a wiersz pana Jerzego pt. „Egzekucja” dopełnił tej decyzji. Pani Magdalena, żona pana Jerzego, bała się, że Julian Tuwim nie będzie przyjęty, tylko zleci to komus z swoich popleczników. Tuwim jednak skrupulatnie przygotował osobno list do pierwszego człowieka w powojennej Polsce Ludowej, warto zatem przytoczyć w tym miejscu słowa tego listu, przygotowanego na „wszelki wypadek”:

„Obywatelu Prezydencie!

Mój wróg polityczny Jerzy Kozarzewski jest poetą, a w swej poezji osiągnął nie lada wyżyny: prorocstwo i skruchę zawczasu wizyjnie przeczuwające. I chociaż w swej pokorze on, zbrodniarz przeciw Rzeczypospolitej i jej narodowi, sam prosił Boga o zmycie plamy swego buntu własną krwią – to my dwaj – człowiek wyniesiony na najwyższą w Ojczyźnie godność i drugi człowiek – ja: poeta, my dwaj nie pozwolimy, aby ziemia polska splamiała się krwią człowieka, który się tak proroczo modlił i kajał. Kula, która by zabiła Kozarzewskiego, rykoszetem uderzyłaby w każdego poetę polskiego.

Jeszcze słówko natury osobistej. Rodzina pani Magdaleny Kozarzewskiej, żony skazanego i matki małego dziecka, niosła w czasie okupacji pomoc mojej nieszczęsnej Matce, zamordowanej później przez hitlerowców. Rodzina pani Magdaleny nie znała osobiście ani mnie, ani mojej Matki. Pomagali jej dlate-

go, że moja matka Żydówka wydała na świat polskiego poetę. Z nieznanego grobu mojej Matki Męczennicy dołącza się głos do głosu syna: prosimy Was obydwójce o łaskę dla Jerzego Kozarzewskiego”.

Julian Tuwim bardzo sprytnie zmontował ów tekst, który gani, ale i podnosi z kłęczek Kozarzewskiego. Tekst, który sięga głęboko do świadomości człowieka prostego, będącego na usługach stalinowskich, ale bardzo próżnego i przebiegłego oraz cynicznego, który wprowadził w Polsce Ludowej „zamordyzm” na swój sposób. Julian Tuwim, twórca „Skamandra”, bardzo ucieszył się, ale podejrzewać można i nieco sam zatrwożył, czy nie udzieli mu się to po jakimś czasie. Fakt, faktem – dostał niebawem wiadomość, że Jego wstawiennictwo wówczas zostało wysłuchane, przez Bieruta. Prawdopodobnie odczytał on wtedy ów list Bierutowi i poparł go wierszem Jerzego Kozarzewskiego. Nigdy później nie zdradził o czym jeszcze rozmawiał z ówczesnym łaskawcą. Tuwim na pamiętnym spotkaniu z żoną pana Jerzego u siebie w domu na Wiejskiej wyraził przy pierwszym kontakcie następujące słowa – *„Będzie żył, jest ulaskawiony. To najpiękniejszy dzień mojego życia. Oczywiście obok dnia mojego ślubu – tutaj zwrócił się od razu ku swojej żonie”.* Trzeba też zwrócić uwagę, że w wyniku wstawiennictwa i interpretacji wiersza Kozarzewskiego „Egzekucja” ulaskawiono jeszcze w tym samym czasie sześciu skazanych na śmierć. A to dla celów propagandowych. Inna ciekawostka to fakt, że list ów w zalakowanej kopercie czekał aż córka poety Jerzego Kozarzewskiego osiągnie pełnoletniość. Wówczas otrzymała ona ten list w zalakowanej kopercie do rąk własnych od Tuwima. Wspomnieć trzeba, że swoją drogą przyznał się od razu żonie pana Jerzego, że skłamał był Bierutowi, że jakoby to rodzina Kozarzewskiego pomagała Jego Matce. Musiał coś wymyślić, co mogło być powodem, lub motywem na równowagę i racją wstawienia się za Jerzym Kozarzewskim. Jak wspomniałem w antologii znalazło się także miejsce na poezję Jerzego Kozarzewskiego, jest ich kilkanaście pisanych z autopsji i przeżycia, także w celi śmierci, jakby obejmujących przytaczane fakty, również te z życia poety.

Zatem przytoczmy fragment wiersza pt. „Egzekucja”:

*Tyżeś to wybrał drogę, która mnie przywiodła
pod bezimienną ścianę, skąd mnie śmieciem
zbiorą.
Tyżeś to wybrał chwile, bym nie widząc godła,
umiał krzyż Twój powtórzyć bez cienia oporu.
Tyżeś to wybrał ciszę – te przed salwą ciszę –
bym mógł, jeśli bym zechciał, wielki głos Twój
słyszeć.*

(z tomu pt. „Późne żniwo”, s. 109)

To taki tygiel wypalony myślami, obcowanie z emocjami zrodzonymi przez przymus

i walkę z bestialstwem, upokorzeniem i bezsilnością – zaznacza bardzo trafnie autorka tej monografii, która przecież nie znała za życia Jerzego Kozarzewskiego.

Z drugiej zaś strony wyobraźmy sobie człowieka zamkniętego w klatce ze świadomością takiego wyroku, później tyle lat, obarczonego myślą o ukochanej, o rodzinie, nie obarczonego wcale strachem czy głodem, bo było mu nieobce, lecz bliskimi, choć były załamania... W roku 1948 pisze poeta list do żony, mówiący o jakimś mistycznym przeżyciu. List ten zawierał także wiersz napisany dużo wcześniej, w sierpniu 1946 roku, pt. „Nie chcę trwać w Tobie gorzkim płaczem”, może chociaż warto przytoczyć jedną zwrotkę:

*Nie chcę trwać w Tobie gorzkim płaczem,
gorzkim... Jedyna, najmilejsza.
Widać nie mogło być inaczej...
Nie chce trwać w Tobie gorzkim płaczem,
ten płacz mnie krzywdzi i umniejsza,
boli... Jedyna, Najmilejsza.
(...)*



Jerzy Kozarzewski

Wracając do tej bardzo cennej skądinąd książki, trzeba powiedzieć, że zawiera dokładne opisy mówiące o tym, jak pani Magdalena, żona Jerzego Kozarzewskiego, starała się i zabiegła, gdzie tylko, o ułaskawienie męża, zabiegła... w sądach, ale te milczały... Ale było, że szykował się Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju na dzień 25-28 sierpnia 1948 roku we Wrocławiu. To jak wiemy była propagandowa impreza radzieckich i polskich komunistów w Auli Politechniki Wrocławskiej, właśnie tutaj przyjechała i zabiegała u Heleny Skłodowskiej-Szalayowej, która kiedyś prowadziła komplety dla przedszkolaków, (wśród których była pani Magdalena), to ona miała z kolei zabiegać u Ireny Joliot-Curie, uczestniczki na ww. Kongresie Pokoju we Wrocławiu o wsparcie. Irena Joliot-Curie przyjęła ją wieczorem w hotelu,

lecz skończyło się to kategoryczną odmową. Tych zabiegów było wiele. Pani Magdalena wierzyła w Jego powrót, żywiła nieustannie nadzieję i świadczyła bardzo oddanie, przez co także bardzo cierpiała... Co się tyczy dalej Jerzego Kozarzewskiego – Jego sposób bycia i postawa były zawsze czytelne dla otoczenia jak i dla żony, umiał słuchać, skupiał się na konkretnym działaniu. Gdy już był w domu po odbyciu kary, po powrocie z kościoła, rytualnie odpisywał na listy, których dostawał dużo. Wspierał zawsze młodych, w tym cały zryw solidarnościowy, ale nadal był obarczony wyrokiem, pozbawiony praw obywatelskich, chciał to brzemień z siebie zrzucić. Dopiero odpowiednia sądowa rozprawa rewizyjna w Warszawie w 1992 roku zdjęła z Niego to jarzmo, uniewinniając Go całkowicie. Natomiast żona, humanistka, doktor medycyny, pani Magdalena, była zawsze przykładaną matką i wzorową żoną – uzupełniali się także później w działaniu społecznym, przyjmowali gości i przyjaciół. Jerzy Kozarzewski wreszcie mógł się oddać i innej pasji – założył Ognisko Muzyczne w Nysie, brał czynny udział w życiu społecznym i literackim oraz artystycznym, bywał między innymi na Najazdach Poetów na Zamek Piastów Śląskich kilka razy, miałem tę przyjemność być przedstawionym przez organizatora tych spotkań panu Jerzemu Kozarzewskiemu i wielką przyjemność uściśnięcia dłoni poecie i zamienienia z Nim kilku zdań, podekscytowany świadomością Jego bohaterstwa i pochodzenia. Czytał także swoje wiersze. Oczywiście jawi się dziś, ten niezjący już Poeta przede wszystkim jako patriota prawdy czasu, który w bardzo klasyczny, przejmujący sposób pomieścił wątki i przeżycia w swej poezji, z której idzie wyczytać, jak pojemne serce biło w tym Człowieku, jak duchowo był światłym i jakim humanistą pozostał do końca w czas pokoju.

Monografia o Jerzym Kozarzewskim opracowana przez Danutę Kobylecką, pod redakcją Harrego Dudy, poety i krytyka z Opola, jest książką bardzo potrzebną, dostarczającą wiedzy popartej nie tylko datami, ale i faktami oraz ikonografią... To dokument dla szerszej, młodszej generacji, to zapis i światło świadectwa czasu, zew poświęceń osoby, ważnej i jedynej w swoim rodzaju, jakby ocalonej – zawsze potrzebnej społeczeństwu na czas pokoju i niepokoju. Książka pokazuje konkretnie czym był tamten okrutny wiek, okrucieństwo byłego systemu zamordyzmu, a w tym na siłę głoszonego socrealizmu... Zawiera opisy wierne, bardzo czytelne i zrozumiałe rozwinięcie najważniejszych faktów odkrytych, przedstawionych jakby na nowo dziś i ujawnionych innych faktów po czasie, wręcz bardzo ważnych nie tylko dla pokolenia młodych z Nysy, gdzie dożył Jerzy Kozarzewski końca, ale dla pokolenia wchodzącego w układ społeczny, tamten marazm jest im obcy i niewyobrażalny nie tylko dla intelektu, ale i

wartości patriotyzmu, który wtedy miał nieco inną miarę. Trzeba było wiedzieć swoje i mieć wiele siły, umieć postępować... Jerzy Kozarzewski to historia niewdzięcznego czasu. Zmarł spełniony w roku 1996 w Nysie. Mimo to, na koniec swego życia, w rozmowie z synem, powiedział te oto słowa:

– Synku, miałem długie i szczęśliwe życie.

Zbigniew Kresowaty

Danuta Kobylecka, „Jerzy Kozarzewski – Ślad niezatarty”. Wydawca: Niepubliczna Szkoła Podstawowa im. Jerzego Kozarzewskiego, Nysa 2013.

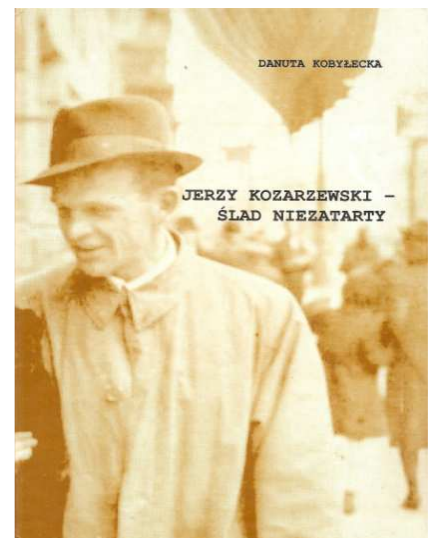
Jerzy Kozarzewski

Egzekucja

Tyżeś to wybrał drogę, która mnie przywiodła pod bezimienną ścianę, skąd mnie śmieciem
zbiorą.
Tyżeś to wybrał chwilę, bym nie widząc godła umiał krzyż Twój powtórzyć bez cienia oporu.
Tyżeś to wybrał ciszę – tę przed salwą ciszę – bym mógł, jeśli bym zechciał, wielki głos Twój
słyszeć.

I oto stoję Panie z człowieczą niezgodą dla Twojego wyboru mojej boskiej drogi.
I nie umiem w Twej woli znaleźć się swobodą tak, by mnie bez przymusu, lotne, niosły nogi.
I zwieszam się nadzieją w próżni pocieszenia, że przejdą po mnie lepsze, zdrowsze pokolenia.
[Broń chrzęści za plecami. Czyż aż tego trzeba, żeby spojrzeć prawdziwie w głąb Twojego
nieba...]

O daj mi Panie siłę w tej ostatniej chwili bym umiał Ci zawierzyć, że mym wypełnieniem wszyscyśmy się do Ciebie o krok przybliżyli i nie odchodząc ziemi opuścili ziemię.
I odpląć mi pewnością wielkość zawierzenia, a pytające słowa – czystością milczenia.
I dozwól, bym krwią obmył ciemną buntu plamę Amen



Gorzka czekolada przeszłości

(Dokończenie ze strony 13)

Nie jest to łatwa sprawa, gdyż wszyscy napotkani ludzie są jakby bez pamięci. Kto spowodował jej brak? I kto nadal to czyni w dzisiejszych czasach? To podskórne pytanie towarzyszy czytelnikowi tej niezwykłej powieści. I to jest jedna z zalet powieści Zalewskiego.

Izabela M. Michalska na okładce książki m.in. przewrotnie napisała: „Nie czytaj tej książki”. Jeśli lubisz tylko płaskich, bohaterów i płytkie doznania – będziesz zawiedziony. Od tej książki najpierw nie można się oderwać, a później nie można o niej zapomnieć. Dlatego właśnie przeczytać ją po prostu trzeba, tak jak trzeba czuć smak życia, jeśli nie chcemy jedynie wegetować”.



W swoim prywatnym śledztwie w prawie swego dziadka Władysława Andrzej dociera aż do Mongolii, o której aktualnie nic nie wiemy, bo nasze media o krainie Czynghis-Chana milczą jak zakłete. Paweł Daniel Zalewski ze skrupulatnością rasowego dokumentalisty pisze bardzo interesująco o tym egzotycznym kraju. Podobnie nie szczędził swej wiedzy, pisząc o ukochanym Lwowie, który jest dla niego jak gorzka czekolada. Pisze o tym mieście przepięknie i wtedy jego proza naturalnie zmienia się w prozę poetycką, a przeszłość wyrusza dzielnie w przyszłość.

Zalewski umie być precyzyjny, wręcz drobiazgowy w swych opisach (np. opis sekcji zwłok konia), które ubarwia takimi folklorystycznymi precjozami: „Obuty był w parę wysokich gutał z ciemnobrązowej skóry o

czubkach podwiniętych do góry, *by nie trącać ziemi, okazywać jej szacunek*”.

Emil Biela

Paweł Daniel Zalewski, „Bez pamięci”. Wydawnictwo „Astra”, Kraków 2014.

Przed wszystkim chciał żyć

Edward Stachura (1937-1979) żył krótko, chociaż pragnął inaczej, nie udało mu się stworzenie siebie samego, własnego ego. Nie poradził sobie z sobą samym. Samobójcza śmierć była tego tragicznym potwierdzeniem. Mógłby żyć do dnia dzisiejszego! Będąc pieśniarzem mógłby melodią i poetyckim słowem głosić chwałę życiu, bo Edward Stachura przede wszystkim pragnął żyć i pisać o wędrówkach przez swe żywobyocie...

Edward Stachura, jego życiorys, to największa bodaj powojenna legenda literacka. Opowiada ją niezwykle szczegółowo i barwnie Marian Buchowski w książce pt.: „Buty Ikara”, będącej obszerną biografią (650 stron) Edwarda Stachury. Metaforyczny tytuł trafnie pasuje do twórcy „Wszystko jest poezja” i „Falując na wietrze”.

Biografia Stachury napisana jest przez Mariana Buchowskiego z czułością, wzrusza czytelnika i na zawsze lokuje się w jego pamięci. Doprawdy, wstrząsającą lekturą!

Stachura był tragiczną postacią. „Tak się miało po świecie”. »Wszystko jest poezja« jest tego wstrząsającym dokumentem. Wszystkie moje książki także samo. Może dlatego, że jestem wygnaniec” – wyznaje przesadnie – jak zwykle o sobie. „Ni Francuz, ni Polak, ni Meksykanin. Nie czułem ziemi pod stopami, ziemi, jak to mówią, własnej, rodzinnej, ojczystej. Nigdy na to nie zwracałem uwagi, ale coś w tym chyba jest”.

Jego życiopisanie pozwalało mu stworzyć książkowych sobowrotów, których poddawał samoleczeniu, lekarstwem mało skutecznym było śpiewanie, gra na gitarze i oczywiście pisanie. Musiał ciągle wędrować lub gdzieś jechać. Do matki swej mówił: „Muszę żyć słońcem”. Barbara Czochralska pięknie i prawdziwie napisała o Stachurze, że „niósł w sobie światło”, „miał w sobie sacrum i to było widoczne”.

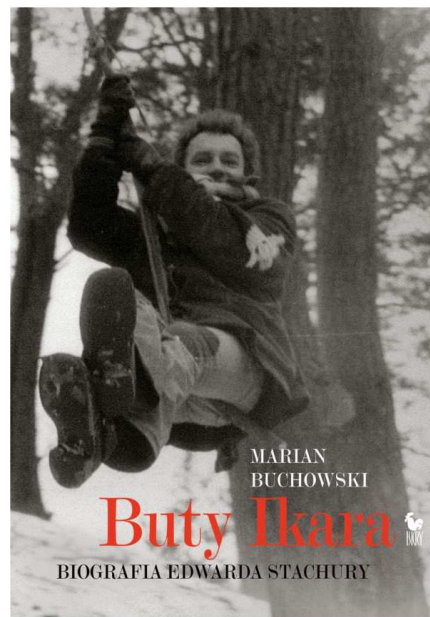
Profesor Henryk Skolimowski twierdzi, że jak Diogenes z latarnią szukał ludzi, tak Stachura szukał poezji – wszędzie, zawsze. Obserwując jego nader skromniutki styl życia, taki włóczęgowski, miało się niekiedy poczucie politowania... Ale nie wtedy, gdy się patrzyło w jego oczy, w jego twarz, jakby zawsze drgającą bólem i noszącą w sobie cierpienia innych; gdy się człowiek zanurzył w jego pisaniu – oceanie poezji. Był postacią

natchnioną i niepokojącą poprzez swoją bezkompromisowość i szukanie ostatecznego trzonu egzystencji ludzkiej – poezji i prawdy, zdawał się zawstydząć nas wszystkich, tak ciągle zakrzętanymi i zabranych codziennymi sprawami...

Bardzo mocno, jak dzwon, brzmiał ostatnie zdania zamykające biografię Stachury: „A Sted... Teraz właśnie nadszedł jego czas. Teraz byłby potrzebny. Jako odtrutka na okrutny, kroczący środkiem nowej Polski kapitalizm. Jako ucieczka przed głupotą i małością polityków, nędzą dnia powszedniego zwykłych ludzi. Sted umarł za wcześnie!”.

Są to słowa Marii Nurowskiej, pisarki, autorki ponad 20 książek.

Emil Biela



Marian Buchowski, „Buty Ikara. Biografia Edwarda Stachury”. Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 2014, s. 650.



Rys. Barbara Medajska

Filozofia codzienności (100)



Marketing farmaceutyczny – zjawisko u nas nowe – powinien być ugruntowany na zasadach wyniesionych z tradycji, a więc o wiele trwalszych niż przepisy prawne.

Zagadnienie marketingu aptecznego nierozzerwalnie wiąże się z wolnością człowieka i jego uprawnieniami. Borykamy się u nas ze złe pojmowaną godnością lub jej lekceważeniem.

Dzieje się tak zawsze, gdy dążenie do zysku bierze prymat nad względami należnymi choremu człowiekowi. I tu nasuwa się konkretna zasada, która powinna być przestrzegana w marketingu farmaceutycznym. Miałoby być pożądanym, by marketing prowadziły firmy farmaceutyczne wytwarzające leki oraz hurtownie – nie zaś apteki. Niestosowne jest traktowanie lekarstw na wzór innych towarów, co nie znaczy, że leki nie są zarazem towarami. Pisał o tym wnikliwie profesor Jerzy Masiakowski.

Wartość człowieka i jego honor ma istotne znaczenie we współczesnych społeczeństwach. Tej wartości nie da się zastąpić. Pojęcie godności ludzkiej – *dignitas humana* – dotyczy każdego bez względu na stan zamożności, wykształcenie, czy stanowisko. Aptekarze, to grupa farmaceutów, która na co dzień, w każdym zetknięciu z człowiekiem, powinna respektować tę godność. Może to zabrzmieć jak komunał, ale prawdy elementarne najtrudniej jest przełożyć na codzienne działania.

Dominuje w naszym życiu bylejakość i brak szacunku dla człowieka. Ta atmosfera wpływa demobilizująco na aptekarzy. Czas, by jedna z ważnych grup zawodowych stała się wzorem dla innych. Czyż nie byłoby ze wszech miar pożądanym, by stali się nią aptekarze?

W przedmowie do „Pamiętnika Pierwszego Zjazdu Aptekarzy Królestwa Polskiego” czytamy, że znaczny zasób zalet obywatelskich i wiedzy wykazywali polscy aptekarze. Te słowa wyrażone w 1912 roku nie straciły aktualności do dziś. Nadszedł czas, by potwierdzić w działaniach prawdziwość tej oceny.

Dawne wartości funkcjonujące jako hierarchiczne najwyższe w świecie farmaceutów – dobro ojczyzny i zawodu – zostają wyparte przez narastający materializm i jednostkowy

egoizm.

Marketing apteczny przyniósł postawy wzmoczonej walki o byt i liczenia się z dobrem pacjenta głównie w sferze werbalnej.

Niepokój budzi komercjalizacja zawodu aptekarza. Niezbędna jest zmiana świadomości i nasycenia studiów treściami filozoficznymi, wprowadzenie filozofii farmacji jako obowiązującego do programu studiów.

Oddziałują na nas przystosowawcze nie tylko rozmaite poglądy oraz mądrości poprzednich pokoleń, ale również obyczajowość. A wiadomo, że taki rodzaj zniewolenia odbiera nam więcej wolności niż przepisy obowiązującego prawa. W epokach przemysłowych, a więc w naszych czasach, najistotniejszym problemem staje się znalezienie idei, według których można by kształtować siebie oraz kierunek rozwoju społeczności. Aptekarze, kontaktując się z ludźmi różnych środowisk i zawodów, mają szczególną misję do spełnienia.

Czesław Znamierowski wskazuje na życiowość powszechną jako na jedyne uczucie, które dotyczy wszystkich ludzi. Ale zdaje sobie jednocześnie sprawę z tego, że pod powłoką altruistycznych pozorów, w tym stwarzanych także przez polityków, kryją się często egoistyczne interesy. Zdaje sobie sprawę z tego, że na ogół ludzie nie kierują się dobrem powszechnym. Pisał wyraźnie, że również w ustroju demokratycznym, idealizowanym przez wielu, dochodzą do głosu interesy osobiste. Stąd tak doniosłe znaczenie ma filozofia farmacji, która jest zdolna przeobrażać korzystnie świadomość i charakter farmaceutów, a w tym aptekarzy.

W książce „Szkola prawa. Rozważania o państwie” – opublikowanej dopiero po śmierci autora w 1988 roku Czesław Znamierowski rozważał zagadnienie ustroju demokratycznego. Zwracał uwagę na trudność sprawowania rządów w takiej formie ustrojowej, a także na niejednoznaczność pojęcia demokracja.

W rozmaitych wiekach ustrojów demokratyczny był inaczej pojmowany. Zdaniem Czesława Znamierowskiego idea demokracji „nie jest jeszcze szczegółowym projektem architektonicznym”. W tej konkretyzacji powinni uczestniczyć aptekarze.

Czesław Znamierowski pisał o „odwiecznym oroku” ustroju demokratycznego, podkreślając sprzęgnięte z nim urządzenia liberalne, ale jednocześnie i opiekuńcze w stosunku do obywateli. Prawidłowo rządzone państwo demokratyczne powinno być jego zdaniem kierowane przez elitę w pełnym słowa tego znaczeniu. Czesław Znamierowski domagał się, by prawo pozytywne gwarantowało równość, ale zarazem podkreślał, że poszczególne obywatele różnią się od siebie stopniem uzdolnienia, możliwości intelektualnych, czy energią życiową.

Wiara w równość ludzi została uznana, przez Znamierowskiego za tragiczne nieporozumienie. Elita to zbiór ludzi wyodrębnionych z większej grupy ludzi na podsta-

wie określonej cechy, która jest im wspólna. Charakterystyczną cechą wiążącą się z elitą jest szacunek, który wzbudza ona u pozostałych obywateli. Postuluje też eliminację jednostek gorszych spośród tych, którzy tworzą elitę. To właśnie członkowie elit mają być w najwyższym stopniu przesyleni życiowością powszechną.

Nie mam wątpliwości co do tego, że aptekarze – współtworzący elitę społeczeństwa – powinni w szczególny sposób odznaczać się życiowością powszechną, a więc czymś znacznie więcej aniżeli profesjonalizmem. Odpowiadają wszak za zdrowie i życie pacjenta. Odpowiadają na przykład za poradę wyboru lekarstwa, czy sprzedanie zamiennika lekarstwa. To aptekarze zezwalają ostatecznie na to, kierując się komercją i wybierając postawy przystosowawcze, by apteki przypominały swoim wyglądem i rozmiarem reklam – swoiste kramy.

Natarczywość reklam – za którymi kryje się drapieżna chęć zysku firm farmaceutycznych – osacza w szczególny sposób człowieka chorego. A biorąc pod uwagę ubożenie społeczeństwa i wysokie, nieproporcjonalne do przeciętnych dochodów, ceny lekarstw, należy stwierdzić, że apteki przestały być miejscem schronienia dla biednego, zdezorientowanego pacjenta.

Nie straciły na aktualności słowa A. Bukowskiego: „Nie jestem przeciwnikiem reklam środków lekarskich; przyznaję, że są one niezbędne, gdyż reklama, jak wiadomo, jest dźwignią handlu; jednakże reklama środków leczniczych powinna być poważna, sumienna i oparta na rezultatach badań klinicznych i podstawach naukowych, nie zaś na krzykactwie. Ze szkodą dla lecznictwa i przemysłu krajowego wyróbił złożonych środków leczniczych w przeciągu ostatnich lat kilkunastu przeszedł z aptek prawie całkowicie do fabryk chemicznych lub zakładów mieniących się takimi”.

Niepokój wywołany nadmiarem informacji o lekach cudownie uzdrawiających, a niedostępnych finansowo – nie służy zdrowiu. Apteki nie są już od kilku lat przystanią, w której można nawiązać głębszy, szczerzy kontakt z aptekarzem-doradcą. W aptece spotykamy raczej rzecznika interesów firm produkujących leki niż aptekarza tworzącego mikstury z myślą o indywidualnym przypadku. B. Głuchowski pisał w 1912 roku, we wspomnianym „Pamiętniku Pierwszego Zjazdu”, że „zadaniem aptek jest nieść chorem w każdej porze dnia lub nocy pomoc i ulgę; bez względu na wszelkie możliwe reformy lub zmiany, to zasadnicze stanowisko apteki pozostać musi i nadal”. Czasy się zmieniły – lecz nie ten postulat.

cdn.

Maria Sajdakowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie**Coś ludzkiego**

Jako autor *salonu mych myśli* zanim zabiorę głos, myślę i myślę, o czym dzisiaj będzie. O kim i o czym, i w jakim celu. Sam jestem bardzo ciekaw, ale odpowiedź już dobrze znam. Patrzenie Państwo! W salonie mych myśli jesteśmy w komplecie. Są nasze piękne dwie dziewczyny – błękitnooka, złotowłosa Wiosna i piwnooka jak heban czarownośca Luna. Są nasi dwaj filozoficzni bohaterowie – filozof Pan Nietwór i jego asystent Daniel Spaniel. No i jestem ja. Jak łatwo się domyśleć siedzimy przy okrągłym stole. Siedzimy i czekamy, kto pierwszy zacznie.

– Ja pierwsza zacznę – powiedziała piwnooka Luna – zacznę od tego, jakże ważnego pytania. Drogi Autorze, czy powiesz nam dzisiaj coś ludzkiego, coś bardzo ludzkiego, o dobrych ludziach na tym nieludzkiem świecie?

– Na jakim nieludzkiem świecie, na tym ludzkim świecie – zawałał arcyprzeciwnym głosem Daniel Spaniel. Przecież to człowiek zabija drugiego człowieka z ludzkiej nienawiści, z ludzkiego fanatyzmu, z tworzonych przez samego siebie zbrodniczych ideologii takich jak hitlerizm czy stalinizm. To jest ten nasz ludzki świat, na którym żyjemy tworząc również piękno poezji i szlachetność myśli, z myślą o szczęściu ludzkości.

– Tyle jest wojen za nami. Tyle miejsc ludzkiej zagłady. Katyń, sowieckie więzienia i sowieckie łagry. Tyle miejsc ludzkiej zagłady. Auschwitz, Birkenau, hitlerowskie obozy śmierci i ludobójstwa podbitych narodów. Tyle jest wojen przed nami, a w każdym słowie jest lęk, a z drugiej strony zabójczy dynamit, bo taki jest człowiek. Czy my jesteśmy tacy sami? – wypowiedział swą myśl filozof Pan Nietwór i się głęboko na nią zamyslił w *salonie mych myśli*.

– Człowieku, sam siebie musisz wybrać w

walce dobra przeciwko złu. Precz z terrorem i terroryzmem religijnym i każdym innym rozlewem ludzkiej krwi na naszym ludzkim świecie – to głos Daniela Spaniela tak woła do ludzkości.

I zaległa cisza przy okrągłym stole, aby uczcić pamięć tych, co zginęli z rąk złoczyńców.

Mili moi, moi mili Państwo! Już czas na coś ludzkiego i na coś wielkiego. On ma dwa metry i dwa centymetry wzrostu i tak mówi o sobie kim jest.

– Urodziłem się 12 czerwca 1966 roku w miejscowości Sambor nad rzeką Dniestr (województwa lwowskie), jako drugie dziecko Eugenii (z domu Zawisza) i Bronisława Dziubiak. Matka pochodziła z Dobromila, pracowała jako księgowa; ojciec pochodził z pobliskiej wsi Boniowice, był wojskowym. Ojca i jego rodziny nie pamiętam, ponieważ rozwiódł się z matką kiedy miałem 5 lat, a ja odtąd wraz ze starszym bratem pozostałem pod opieką i na utrzymaniu wyłącznie matki.

Od lat 10 uprawiałem koszykówkę. Po ukończeniu 14 lat (w 1980) zostałem przyjęty do szkoły sportowej z internatem w Kijowie. W roku 1983 rozpocząłem studia na wydziale lekarskim Instytutu Medycyny w Odessie. Chciałem studiować we Lwowie, ale niestety dostanie się na lwowską uczelnię było niesamowicie trudne. Po sześciu latach studiów, otrzymałem w 1989 roku dyplom lekarza i byłem skierowany do pracy w Turkmenii (Turkmenistan). Dostałem jedno z najgorszych skierowań. Gorszym było jedynie skierowanie do pracy w okolicach Czarnobyla.

1 sierpnia 1989 roku rozpocząłem staż podyplomowy w Wojewódzkim Szpitalu w Taszauzie (Daszhowuz). Okres adaptacji w obcym kraju trwał ponad pół roku. Były trudności w pokonaniu bariery językowej, w zrozumieniu mentalności mieszkańców, ich poglądów na życie. Czasami odnosiłem wrażenie, że w kraju nadal trwa ustrój feudalny.

Po ukończeniu stażu podyplomowego przez dwa lata pracowałem w miejscowości Leninsk w województwie taszauzkim. Słabe zabezpieczenie medyczne, brak leków i sprzętu, niski poziom kultury i higieny powodowały, że ilość zgonów wśród dzieci do 1 roku życia sięgała 60-70%. Zrobiłem tam specjalizację z anestezjologii i intensywnej terapii dziecięcej i po ukończeniu kontraktu w maju 1992 roku wróciłem do Sambora. W Samborze pracowałem przez pół roku w pogotowiu ratunkowym, ponieważ nie mogłem znaleźć wolnego etatu anestezjologa w szpitalu. W międzyczasie ubiegałem się o stypendium Rządu Polskiego na studia doktoranckie, które otrzymałem w październiku 1992 roku.

Do Polski przyjechałem 1 listopada 1992 roku. Równoległe ze studiami doktoranckimi na Akademii Medycznej we Wrocławiu zrobiłem specjalizację z anestezjologii i intensywnej terapii (poprzednia zdobyta specjalizacja z powodu różnic programowych nie została

uznana).

W 1998 roku obroniłem tytuł doktora nauk medycznych, w 1997 roku wraz z rodziną przenieśliśmy się z Wrocławia do Oleśnicy, gdzie zamieszkałem i podjąłem pracę w tutejszym szpitalu.

Ze Stasiem Dziubiakiem poznaliśmy się we Wrocławiu. Zamieszkał piętro wyżej w tej samej kamienicy, gdzie my mieszkamy, bo w pobliskim sąsiedztwie znajdują się kliniki medyczne różnych specjalności. Tu zaczęła się przyjaźń między nim i moją rodziną w naszym pięknym mieście nad rzeką Odrą, w naszym drugim Lwowie, którym stał się Wrocław po II wojnie światowej. Tu przyjechali Lwowiacy opuszczając swój rodzinny Lwów po jałtańskiej zmianie granic. Stąd wyjechali Niemcy opuszczając swój rodzinny Wrocław po jałtańskiej zmianie granic. Tu na wrocławskim rynku stanął lwowski pomnik Aleksandra Fredry.

– Lwowski pomnik hrabiego Aleksandra Fredry, polskiego komediopisarza – doprecyzował Daniel Spaniel i dodał. Aby każdy Polak umiał się śmiać ze wszystkiego na tym ludzkim, nieludzkiem świecie.

Masz rację Danielu, bo śmiech to zdrowie, a zdrowie to podstawa życia, którego celem jest miłość, wzajemna przyjaźń i piękno ludzkiego trudu dla innych, by każdy człowiek mógł być szczęśliwy. Czy widzicie Państwo kto ten trud czyni? Ja też widzę, chociaż jestem niewidomy, bo utraciłem wzrok podczas wojny, we Lwowie w czasie niemieckiej okupacji.

To on, dwa metry i dwa centymetry wzrostu stoi przede mną jak pomnik, doktor medycyny Stanisław Dziubiak. No i masz babo placek. Wziął i wywinął kozła, a raczej odwrotnie. Dał i wywinął kozła.

– Jak to wywinął kozła, tak po prostu się przewrócił – szmaragdowym altem pyta piwnooka Luna.

Nie Luno. On się nie przewrócił. Użyłem poetyckiej przenośni. On mnie nieprawdopodobnie zaskoczył, zadziwił i wzruszył tym co uczynił dla mnie w imię przyjaźni znajdując więź symbolicznej jedności człowieka z człowiekiem. On dał mi to do ręki i powiedział – to jest ode mnie na twój benefis, na twój urodzinowy jubileusz, który obchodzisz w tym roku.

– Drogi Autorze, co ci takiego do ręki wręczył ten kapłan ludzkiego zdrowia, żeś się tak bardzo wzruszył – pyta mnie bursztynowym głosem błękitnooka i złotowłosa Wiosna.

Wręczył mi reklamową torbę, a w niej butlę z trunkiem do picia i pęcherzykową koperkę, a w niej... Najpierw butlę z trunkiem do picia postawię na okrągłym stole przed nami. A teraz wyciągnę to, co jest w pęcherzykowej koperce. O matko moja! O mamma mia! To brzoza deska o wymiarach 30 x 22 cm. uformowana na kształt obrazu, a obraz deli-

(Dokończenie na stronie 24)

POEZJA

Amir Or, „Twarze”. Wybór, przekład, opracowanie i posłowie: Beata Tarnowska. Projekt okładki: Piotr Misiorowski. Fotografia autora na obwolucie okładki: Daniel Tchetchik. „Z bliska”, Biblioteka Publiczna w Gołdapi, Gołdap 2014, s. 102.

Anna Augustyniak, „Bez ciebie”. Projekt graficzny: Andrzej Górecki. Wydawnictwo JEDEN ŚWIAT, Warszawa 2014, s. 48.

Katarzyna Mrozik-Stefańska, „Futro z drutu koleczatego”. Posłowie: Tadeusz Żukowski. Wstęp: Lucyna Kończal-Gnap. Projekt okładki: Sylwia Kupiec. Opracowanie graficzne: Joanna Dąbrowska, Zdjęcia: ks. Mariusz Pohl. Zdjęcia autorki na okładce: Dorota Nowak. Wydawca: Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomysłu, Nowy Tomysł 2014, s. 106.

Adam Pluszka, „Zestaw do besztań”. Okładka, koncepcja graficzna: Piotr Zdanowicz. *Biblioteka Poezji Współczesnej*, tom 77. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2014, s. 60.

Janusz Ryszkowski, „Stacja przedostatnia”. Zdjęcia: Janusz Ryszkowski. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 101. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2014, s. 48.

Jan Sochoń, „Obrót kola. Wiersze z lat 2008-2012”. Zdjęcie autora na IV stronie okładki: Ryszard Rzepecki. Wydawnictwo „Bernardinum”, Pelplin 2014, s. 168.

Joanna Starkowska, „Ballada o wyrzynie”. Redakcja autorska. Projekt okładki, fotografie, skład: Rafał Babczyński. Niepodpisane teksty oznaczone kursywą (str. 5, 9, 24, 39, 52) pochodzą z filmu *Pi* w reżyserii Darrena Aronofsky'ego. Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2015, s. 62.

Wisława Szymborska, „Czarna piosenka”. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Oksana Shmygol. Na okładce fragment archiwalnej ryciny Sweet Home. Wydawnictwo Znak, Kraków 2014, s. 98.

Piotr Tenczyk, „Poemat o czasie przeżytym”. Redakcja autorska. Projekt graficzny: Piotr Tenczyk. Projekt okładki: Konrad Kowalczyk. Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2015, s. 74.

Jerzy Utkin, „Nikt nie woła. Utwory wybrane z lat 2006-2013”. Opracowanie graficzne: Przedsiębiorstwo Poligraficzno-Reklamowe „Tongraf”. Instytut Wydawniczy „Świadectwo” Bydgoszcz 2014, s. 108.

Jerzy Utkin, „Samotność liścia. Utwory wybrane z lat 1992-2013”. Redakcja: Stefan Pastuszewski. Instytut Wydawniczy „Świadectwo” Bydgoszcz 2015, s. 52.

Stefan Wadzyński, „Stygnałe litery”. Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego, Białystok 2014, s. 36.

Juliusz Wątroba, „Skrzeczywistość”. Rysunki, projekt okładki: Rafał Bojdyś. Fotografia autora: Rafał Gacek. Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Bielsku-Białej, Bielsko-Biała 2014, s. 234.

Bohdan Zadura, „Kropka nad i”. Projekt okładki: Wojtek Świerdzewski. Projekt typograficzny: Artur Burszta. *Seria Poezje*. Biuro Literackie, Wrocław 2014, s. 80.

Leszek Żuliński, „Ostatnia przeprowadzka”. Opracowanie graficzne: Olga Raciborska. Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2014, s. 62.

PROZA

Stefan Pastuszewski, „On”. Ilustracje: Marek Chaczyk. Redakcja: Jolanta Baziak. Oprawa plastyczna: Marek Chaczyk. Instytut Wydawniczy „Świadectwo” Bydgoszcz 2015, s. 64.

Mateusz Zeniuk, „Gilgotki”. Projekt okładki: Marcin Jaszczyk. Zdjęcie na okładce: Julita Zdunek. Warszawska Firma Wydawnicza s.c., Warszawa 2014, s. 244.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Grzegorz Bazylak, „Akcje, zwroty, odsłony. Sezon Jubileuszowy 1999/2000 Teatru Nowego w Łodzi”. Fotografie w tekście: Sergiusz Wasilewski. Projekt okładki, układ graficzny: Lena Wójcik. Zdjęcie na okładce: Grzegorz Bazylak. Oddział Łódzki Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Literatów, Łódź 2014, s. 134.

Nicolas Bouvier, „Kronika Japońska. Pustka i pełnia”. Przełożyły: Krystyna Sławińska, Krystyna Arustowicz. Fotografia na okładce: Nicolas Bouvier z grupą aktorów teatru Hirose, 1956, Eliane Bouvier, Musee de l'Elysee, Lausanne. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2014, s. 352.

Allen Ginsberg, „Listy”. Opracował: Bill Morgan. Przełożył i przypisami opatrzył: Krzysztof Majer. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka. Fotografia na okładce: The Images Collection / Getty Images. Projekt typograficzny: Robert Oleś / d2d.pl. *Seria Amerykańska*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 854.

Bernard Heinrich, „Wieczne życie. O zwierzęcej formie śmierci”. Przełożył: Michał Szczubińska. Projekt okładki: Agnieszka Papierska / Pracownia Papierówka. Fotografia na okładce: John E. Marriott / Ali Canada Photos / Corbis / FotoChannels. Projekt typograficzny: Robert Oleś / d2d.pl. Ilustracje wewnątrz tomu: Bernd Heinrich. *Seria Menażeria*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 224.

„Język igr. Rozrachunki z Wittgensteinem”. Pod redakcją Jakuba Kloca-Konkołowicza i Adama Lipszyca. Projekt graficzny i stron tytułowych: Mirosław R. Makowski. Wydział Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2014, s. 186.

Dżevad Karahasan, „Doniesienia z krainy ciemności”. Przełożył: Miłosz Waligórski. Opracowanie graficzne: Krzysztof Czyżewski. *Seria Meridian*. Fundacja Pogranicze i Ośrodek „Pogranicze, sztuk, kultur, narodów”, Sejny 2014, s. 190.

Iza Klementowska, „Samotność Portugalczyka”. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka. Fotografia na okładce: Rafael Marchante / Reuters / Forum. Projekt układu typograficznego: Robert Oleś / d2d.pl. *Seria Reportaż*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 210.

Dawid Kujawa, „Wideopoezja. Szkice”. Projekt okładki i stron tytułowych: Bartosz Zaskórski. Biblioteka „Opcji”. Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych, Katowice 2014, s. 160.

Otto Dov Kulka, „Pejzaże metropolii śmierci. Rozmyślenia o pamięci i wyobraźni”. Przełożył: Michał Szczubińska. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka. Projekt układu typograficznego: RobertOleś/d2d.pl. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 168.

Marta Kwaśnicka, „Krew z mlekiem”. Projekt graficzny: Maciej Masłowski. Projekt okładki: Wojciech Gawryła. Zdjęcie na okładce ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego. *Seria Czwarta Fala*, tom i. Fundacja Świętego Mikołaja, redakcja „Teologii Politycznej” Warszawa 2014, s. 160.

„Nie przeczytane. Studia o twórczości Andrzeja Falkiewicza”. Pod redakcją Jarosława Borowca i Tomasza Mizerkiewicza. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Dymitr Kismielow, Paulina Zielona. Fotografie zamieszczone w książce pochodzą z archiwum Andrzeja Falkiewicza. Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław 2014, s. 502, w tym fotografie.

Agnieszka Stapłdewicz, „Ciało, kobiecość i śmiech w poezji Anny Świerszczyńskiej”. Projekt okładki i stron tytułowych: Sepielak. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2014, s. 312.

Cezary Sikorski, Leszek Żuliński, „Rozmowa”. Redakcja autorska. Projekt graficzny serii: Anna Paszkowska. Autorem zdjęć wykorzystanych na okładkach oraz na strona 311 i 312 jest Arek Łuszczek. Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2015, s. 318.

Stanisław Ignacy Witkiewicz, „Nauki ścisłe a filozofia i inne pisma filozoficzne (1933-1939)”. Opracowanie: Maciej Dombrowski, Magdalena Bizior-Dombrowska. Projekt obwoluty, okładki i stron tytułowych: Andrzej Heidrich. Na frontispisie Stanisław Ignacy Witkiewicz *Autoportret*, 29-30 IV 1938. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2014, s. 776.

„Zamieranie fikcji”. Redakcja Monika Ładoń i Grzegorz Olszański. Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Nazarkiewicz. Zdjęcie na okładce: Krzysztof Chrobak. Biblioteka „Opcji”. Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych, Katowice 2014, s. 274.

„Zapomniane słowa”. Pomysł i redakcja: Magdalena Budzińska. Projekt okładki: Fajne Chłopaki. Projekt typograficzny: Robert Oleś / d2d.pl. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 240.



Coś ludzkiego

(Dokończenie ze strony 22)

katnie rzeźbiony i ubarwiony czarnym tuszem. Przedstawia herb mego rodzinnego Lwowa. Jest na nim lew zawsze wierny i Krzyż Virtuti Militari dla tych co siebie Polsce dali. I co dalej ręce lekarza zrobiły, aby ręce poety widziały? Popatrzcie na tylną stronę obrazodeski. Widać pełno powbijanych srebrnych gwoździków w określonym porządku aby w ten sposób tworzyły dotykowe pismo braillea. Moje ręce widzą. Moje ręce czytają:

*Leopolis Semper Fidelis
Przyjacielowi Lwowiakowi Poezie
Wielu patrzy, lecz tak niewiele widzi*

SD 2014



O błogosławiony Stasiu między niewiastami, swoją mamą Eugenią, żoną Marzeną i trzema córkami, Agnieszką, Anną i Aleksandrą. Dziękuję ci Stasiu za to, żeś mi wywinął takiego kozła aż serce drży, zapiera dech i ła się w oku kręci. A ty ludzkości, ty się ucz ludzkości, jaka masz dzisiaj być i w przyszłości. A ty się ucz na tym przykładzie dwumetrowej wielkości plus dwa centymetry, jak dwie kropki poezji.

– Jak tak to tak, teraz na mnie kolej, a przyszłość jest w moich rękach – zapowiedziała sama siebie bursztynowym głosem Wiosna. Trunek rozlany. Kieliszki czekają. Kto chce niech pije. Kto nie chce, niech wypije chociaż tę kropkę.

*Kropka
Na fortepianie rywny plumka deszcz
melodię monotonna*

*po klawiaturze biegnie dreszcz
ma taką kawalerię konną
kopytka kropel deptają
ten czas naszego życia
co mam powiedzieć proszę was
gdy nie ma kropli do wypicia
i tak się kończy każda rzecz
na naszej ziemi życia
albo jest sucho albo deszcz
wszystko zależy od zużycia*

Andrzej Bartyński

Portret znajomej dziewczyny jako tekst – kolaż w szarym kolorze

(Dokończenie ze strony 12)

– Bzdura! One wtedy wszystkie są chore, chore ze strachu, dzikiego zwierzęcego strachu przed bólem.

Profesor Brian uśmiechał się do niej życzliwie. Tak, musi teraz wymknąć się, gdyż ta rozmowa zmierzała do jednego celu... To pewnie! Ojciec jednak chwycił ją za rękę:

– Zaraz pójdziesz, kochanie. – a zwracając się do doktora Motylda, dodał: – Chcielibyśmy bardzo, abys czuł się u nas jak u siebie w domu, prawda kochanie? Zawsze brakowało nam czwartego do brydza, a teraz mamy już z głowy ten kłopot.

Pozostali zaaprobowali tę myśl głośnym pomrukami. Doktor Motyld zrobił w jej stronę oko, jakby chciał powiedzieć: nie bój się, mała. Niczego nie podejrzewają, a ja lubię trzymać język za zębami zwłaszcza, że będę odtąd dochodzącym czwartym partnerem do brydza.

Mimo wszystko musiała się zacerwienić, ale nikt nie mógł już tego zauważyć, gdyż uwagę ich zwrócił jej braciszek, który wtargnął do pokoju w asyście dwóch koleżków, wyraźnie go podtrzymujących.

Mała jak piąstka dziecka twarz staruszki rozpromieniła się radością, kiedy usiadła obok niej w ławce. Brzydota i piękno, starość i młodość chętnie obcujać ze sobą. Tak, miała ochotę usiąść obok staruszki i usiadła, sprawiając jej tym widoczną radość. Tego ranka ojciec opowiedział jej o swoim przyjacielu, który miał przyjechać do tej ich dziury z cyklem odczytów. Studiowali kiedyś razem, a potem ich drogi rozeszły się, więc była okazja do spotkania. Dał jej kluczyki do swojego samochodu, aby zaraz po odczycie porwała go do ich domu. Mogła poczekać w samochodzie, ale poczuła nieprzepatą ochotę wejścia do kościoła i pomodlenia się, jak to robiła niegdyś, zanim nie przeniesli

jej ulubionego księdza do innej parafii. Przez ten ostatni rok kościół wywierał na niej jedynie metafizyczne wrażenie, a cały religijny obrządek traktowała jak kąpiel w pianie z obłoków, pachnących i kolorowanych. Teraz też zachwycała się tym półmrokiem rozświetlanym kojącym blaskiem witraży ich harmonią, która w połączeniu z ciszą oraz subtelnym zapachem kadzideł, wprowadziły ją w dziwny błogostan. Tak, potrzebowała teraz tego uczucia, może nawet nie modlitwy, a właśnie tego rajskiego spokoju i wyciszenia. Kościół był prawie pusty, zaledwie kilkanaście staruszek, o wiecznie poruszających się, cienkich, bezkrwistych wargach. Ksiądz obrzuciwszy zgorszonym wzrokiem pustkę ławek, zapowiedział odczyt. Przez chwilę miała ochotę wyjść i poczekać w samochodzie, ale przyciągnął ją głos tego szpakowatego mężczyzny. Jakże o wiele młodziej wyglądał jej ojciec. Jego głos spływał z rozmieszczonych głośników jednostajnymi dźwiękami. Usiłowała nie poddać się ich usypiającej od samego początku monotonii. Babcia obok niej zachrapała raz i drugi, a jej trzęsąca się dotąd ręka, znieruchomiała. „Oto roślina puka do furtki ziemi i oto dziecko puka do furtki ciała swojej matki. Słońce i deszcz rodzą się razem z dzieckiem...”. Roślina pukająca do furtki ziemi... Staruszka przebudziła się i teraz patrzyła na nią swoimi bladymi, rozwodnionymi oczami. Już nie uśmiechała się, w jej oczach wyczuła jakiś wyrzut, oskarżenie. „Absurdalności kaci! Zawsze ci sami. Tyle hańby a nie mdli nikogo, tyle łez a nikt nie płacze, tyle śmierci a nikt nie umiera. Umiera człowiek, nowy człowiek! Mamu, najstraszniejsze dla mnie nie jest to, że nie zachowa się pamięć o mnie, lecz to, że nie będzie samej pamięci...”.

Czuła dziwne dławienie w gardle. Nie mogła znieść tego natrętnego spojrzenia starej kobiety. Czuła chaos w głowie i tę strasliwą pustkę, którą już raz odczuła. I nie chciała słuchać tych słów, a jednak słuchała, nie chciała patrzeć w oczy tej starej kobiety, a jednak nie potrafiła odwrócić głowy. „Kult Wielkiej Matki, co przygarnia dzieci, by je tym łatwiej pożreć... Barbarzyństwo dwudziestego wieku, powszechny mord, zagłada...”.

Wstała, ale nie potrafiła zrobić jednego kroku, aby wydostać się z tej ławki. Tamten człowiek cały czas mówił, mówił jakby właśnie do niej, a jego głos, nad podziw teraz doniosły grzmiał w głośnikach, a jej zdawało się, że jeden z nich zainstalowany jest w jej wnętrzu, gdzieś pod sercem... Pamięta jeszcze, jak krzyknęła: NIE! NIE! Kiedy wybiegła z kościoła, czyjeś ramiona starały się ją zatrzymać, objąć, może nawet przytulić i dopiero o wiele lat później dowiedziała się, że był to jej ojciec...

Kazimierz Ivosse

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.